

Cztery życia wierzby

Shan Sa

I

W roku 1430 statek bogatego kupca bławatnego zakotwiczył u brzegu jeziora Dongting, naprzeciw pawilonu Księżycy. W czasie gdy właściciel statku przyjmował na pokładzie handlarzy, Czong Yang, jego jedyny syn, pod opieką nauczyciela i dwóch służących, czólnem udał się do miasta Yue Yang.

Chłopiec miał zaledwie sześć lat. Znał już na pamięć kilkaset dawnych wierszy, często chodził medytować w miejsca, w których niegdyś medytowali poeci.

W mieście przypatrywali mu się przechodnie, zaskoczeni jego urodą i blaskiem ubrania. Prowadzony pełnymi zdumienia spojrzzeniami, chłopiec kroczył pewnym krokiem osoby dorosłej.

Przed pawilonem Księżycy zatrzymał go taoistyczny mnich w nieokreślonym wieku, w łachmanach. Czong Yang kazał dać mnichowi jałmużnę. Starzec przepowiedział mu jakieś niebywale spotkania, sławę, ogromną fortunę. „Ale - dodał - to tylko sen i mara”. Nie wziął pieniędzy, głęboko westchnął i poszedł w kierunku jeziora, potrząsając głową. Szarość jego szaty rozplynęła się na tle migocących fal, po czym zniknął jakby pochłonięty przez wodę.

Następnego dnia pewien dostojnik zaprosił na obiad ojca i syna. Chcąc sprawić chłopcu radość, kazał wnosić na okrytych aksamitem tacach sztabki złota, cenne rękopisy, instrumenty muzyczne, przywiezione zza mórza mechaniczne zabawki. Czong Yang, mocno wciśnięty w krzesło, siedział z opuszczoną głową i odmówił wybrania prezentu. Namawiano go. Zapanowała cisza. Ojciec zmusił się do uśmiechu i zażartował na temat nieśmiałości synka. Ale po cichu zbeształ go, wyrzucając mu aroganckie zachowanie. Policzki Czong Yanga splonęły purpurą; przytłumionym głosem odpowiedział, że jest mu wszystko jedno. Dostojnik przyjął

odpowieź chłopca jako zniewagę i wpadł w gniew. Ojciec Czong Yanga rozplýwał się w przeprosinach. Dookoła szeptano.

Chłopiec wstał i wyszedł z opuszczoną głową. Poszli za nim. Udał się nad staw, gdzie płacząca wierzba swym wspaniałym listowiem pieściła powierzchnię wody. Wspiął się na czubki palców, ułamał dwie długie gałązki i przytulił do siebie.

- Oto mój prezent, powiedział cicho. - Speszony śmiechami, uciekł.

Ojciec i syn wrócili do domu Błękitną Rzeką. Czong Yang nie spuszczał oczu z dwóch gałązek. Wstawione do porcelanowego wazonu pochylały się w rytmie kołysania wody. Natychmiast po przyjeździe zasadził je pod swoim oknem. Jego zachowanie wszystkich rozbawiło. Powtarzano mu, że gałązki uschną. Chłopiec nie chciał o niczym słyszeć. Codziennie je podlewał i podziwiał. Gałązki zapuściły korzenie, pokryły się listkami. W kilka lat tak wyrosły, że gęsta czupryna drzew sięgała ziemi.

W czasie jednej z gwałtownych burz statki przewożące towar ojca Czong Yanga zatoneły na Błękitnej Rzece. Chłodne, deszczowe lato sprawiło, że wzrosły ceny lnianych tkanin, w które kupiec zainwestował. Rodzina popadła w ruinę. Z obawy przed wierzycielami schroniła się na dalekiej prowincji. Chłopiec, teraz już dwunastoletni, musiał rozstać się ze swoimi wierzbami. Wyjeżdżał z płaczem.

Miał osiemnaście lat, kiedy zmarli rodzice. Czong Yang wiódł samotne życie na zboczu wyludnionego wzgórza. Wieczorami uczył się do cesarskiego egzaminu, jego ostatniej nadziei wyjścia z nędzy. W czasie dnia był skrybą w pobliskiej wiosce, udzielał dzieciom lekcji i w ten sposób zarabiał trochę pieniędzy.

Pewnego dnia po pracy wrócił do domu. Wiosna chyliła się ku końcowi, przekwitłe kwiaty pokrywały krętą jasną ścieżkę, prowadzącą do bambusowego lasu. Światło zachodzącego słońca drgało jak złociste motyle. Śpiew ptaków mieszał się z szumem górskich wodospadów. Ogarnięty wzruszeniem na widok tego pejzażu Czong Yang poczuł żal z powodu ulotności piękna i niestałości świata. Westchnął i naprędce ułożył wiersz:

Idę opustoszałą drogą
Ostatnie promienie zmierzchu umykają
ku zachodowi
Unosząc purpurę wszechświata
Ptaki parami śpiewają w ciemnym listowiu
Ich wesołość rani moje osieroczone serce.

Odgłos kłusującego konia wyrwał Czong Yanga z rozmarzenia. Odwrócił się. Młodzieniec w zielonym kaftanie zeskoczył z perskiego konia i złożył pełen szacunku ukłon.

- Nazywam się Qing Yi - rzekł. - Pochodzę z prowincji Zhejiang. Przejeżdżałem przed chwilą przez leżącą tam w dole wioskę i dowiedziałem się, że ktoś z moich okolic mieszka na zboczu wzgórza. Postanowiłem więc go odnaleźć. Gnębił mnie niepokój, że nie uda nam się spotkać. Pomyślałem o wierszu Jia Dao (Jia Dao (779 - 843): poeta w okresie dynastii Tang.) - „Jest w tych górach, pomiędzy rozproszonymi obłokami, nikt go nie odnajdzie” - a tu nagle spotykamy się!

Miękka wymowa, charakterystyczna dla prowincji Zhejiang, poruszyła Czong Yanga. Natychmiast odpowiedział: „Wywieziony w wieku dwunastu lat, nigdy nie ujrzałem już rodzinnej ziemi. Gdyby zechciał pan zajrzeć w moje skromne progi, z radością poczęstuję pana herbatą i posłucham wieści z mojej krainy”.

Przybysz chętnie przyjął zaproszenie. Chwycił konia za uzdę i poszedł za Czong Yangiem. Idąc pod górę wzdłuż strumienia, doszli do domku pokrytego słomą.

Czong Yang wszedł do środka, rozpałił ogień i zagotował wodę. Podał gościowi zieloną herbatę w porcelanowej filiżance z Jingdezhen (W czasach dynastii Ming, miasteczko Jingdezhen znane było z manufaktur, wytwarzających porcelanę.), tak cienkiej, że prawie przezroczystej; był to jeden z niewielu przedmiotów uratowanych po upadku rodziny.

Czong Yang nalał sobie herbaty do glinianej miseczki, po czym zaczął wspominać prowincję Zhejiang i jej słynne pejzaże. Mówił o gwarnych uliczkach, gdzie krążyli jak lunatycy - odurzeni zapachem kwiatów jaśminu - sprzedawcy zup, szlifierzy, fryzjerzy, szklarze.

Jego wzrok utkwiał gdzieś w przestrzeni. Rodzina miała wiele powozów. Jego był najpiękniejszy, toczył się godnie, jakby wiózł osiemdziesięciolatka. Na wiosnę, w księżycowe noce wszyscy wsiadali na malowany statek i biesiadowali na wodach Zachodniego Jeziora. Podawano wyśmienite dania, egzotyczne owoce na talerzach z nefrytu. Na dziobie statku muzyk torturował flet. Na brzegach lśniły azalie, panowała zupełna cisza, odbicie światła księżyca, załamujące się pod wiosłami, umykało do ciemnej wody, jak srebrzysty wąż.

Czong Yang dyskretnie otarł łzy i spytał, czy gość zna może jego dawny dom, który położony był przy głównej alei w mieście.

- Oczywiście - odpowiedział. - Stopniowo popadał w ruinę, nikt nie chciał go kupić. Jedynie dwie płaczące wierzby o gęstych liściach były świadectwem niegdyśiejszego dobrobytu.

- Wierzby! - krzyknął Czong Yang, który już dawno o nich zapomniał. - Ach, te moje dziecinne kaprysy!

Wzruszony, podniósł się z miejsca i poszedł po butelkę ryżowej wódki, żeby przepić z przybyszem.

Rozmowa była tak ożywiona, że czas mijał im bardzo szybko. Cień bambusów, przesuwany światłem księżyca, powoli pełzał po ścianach pomiędzy rysami pęknięć. Czong Yang zaprosił gościa na noc i Qing Yi został u niego przez dwa dni.

Trzeciego ranka oznajmił gospodarzowi:

- Wyjeżdżam. Proszę mnie nie zatrzymywać. Niebawem wrócę!

Dosiadł konia i zniknął w lesie.

Czong Yang niecierpliwie czekał na jego powrót. Nareszcie znalazł przyjaciela, z którym mógł porozmawiać o sztuce, filozofii, literaturze. Jednak Qing Yi nie wracał, a Czong Yang tracił nadzieję. Trzy miesiące później, pewnego wieczoru, gdy grzał wodę na herbatę, ktoś ze śmiechem otworzył drzwi: „Chce mi się pić! Poczęstuj mnie filiżanką zielonej herbaty”.

Qing Yi usiadł przy stole i zaczął rozmawiać z Czong Yangiem, tak jakby opuścił go poprzedniego dnia. Miał twarz pokrytą kurzem, kaftan ubrudzony błotem, wyglądał, jakby przebył krainę, w której rzeka wykrzywia bólem ziemię.

Odjechał po trzech dniach, wrócił, aby znowu znienacka się oddalić. Jego wizyty stawały się coraz częstsze. Czong Yang otrzymywał wieści ze świata, lepiej więc znosił swą samotność.

Spojrzenie Qinga Yi było przenikliwe jak spojrzenie osoby dojrzałej, niekiedy zasnuwała je dziwna melancholia. Czong Yang przypuszczał, że jest w nim jakaś tęsknota za społecznym uznaniem. Chcąc dać mu choć szansę, zaczął go namawiać na podejście do cesarskiego egzaminu. Ale Qing Yi odpowiedział: „Na ziemi są dwa rodzaje sposobów na życie: jeden podobny jest do rzeki wpadającej do morza, drugi do

zabłąkanego obłoku, który dryfuje bez określonego celu. Nie chcę słyszeć ani o karierze, ani o społecznym uznaniu. Takie jarzmo byłoby dla mnie nie do zniesienia".

Na koniec zażartował:

- Moje szczęście nazywa się próżniactwem:

Cóż tam jest w górach?

Ponad zwałami białych chmur.

Mogę się nimi cieszyć w samotności

I nie będę umiał wam tego opowiedzieć.

(Wiersz Tao Tao Hongjing (452 - 536), eremity, który poświęcił życie alchemii i wiedzy tajemnej, aby osiągnąć nieśmiertelność.)

Pewnego wieczoru Czong Yang grał na cytrze, w cieniu bambusów. Kiedy skończył, Qing Yi spytał, czy ta melodia, przepojona smutkiem i żalem, nie odwołuje się do wiersza Zhang Hua (Zhang Hua (232 - 300): poeta z czasów dynastii Jin.): „Nie nadchodzi moja luba. Komu miałbym ofiarować to przejrzyste źródło, ten zielony brzeg, usiany dzikimi orchideami?".

Widząc, że przyjaciel się rumieni, młodzieniec uśmiechnął się: - W twoim wieku to jest całkiem normalne, że trzeba pomyśleć o ożenku, o spotkaniu kobiety, która zajęłaby się ogniskiem domowym.

- Jestem nieco odczytany, ale ubogi - odpowiedział Czong Yang. - Mój dom jest tak pusty, że wiatr hula w nim swobodnie. Nie posiadam nic oprócz odrobiny wiedzy. Cóż miałbym ofiarować kobiecie? Kto zechciałby dzielić ze mną chałupkę z gołymi ścianami i jakże skromne posiłki?

- Pokazałem twoje wiersze mojej siostrze bliźniaczce. Jest urzeczona twym talentem. Powiem jej może...

- Jestem ci bardzo wdzięczny. Ale moja bieda nie pozwala mi przyjąć tej propozycji.

- Siostra nie jest brzydka. Sam zobaczysz, że jej umysł jest o wiele żywszy, a natura bardziej zapalczywa niż nasze razem wzięte.

Nie zwlekając Qing Yi odjechał.

Trzy dni później Czong Yang oddawał się lekturze przy blasku świecy, gdy doszły jego uszu dalekie odgłosy fletów, bivy, lutni, zmieszane z truchtem koni. Odłożył książkę i wyszedł.

Z doliny wyłaniały się czarne cienie i czerwona poświata. Kilka chwil później młody, bogato ubrany człowiek na koniu ukazał się na drodze, za nim młode dziewczyny w strojach służących, trzymające w ręku purpurowe lampiony. Za nimi szli czterej olbrzymi, niosący na ramionach lektykę okrytą jedwabiem. Orszak zamykali muzykanci grający radosne melodie.

Qing Yi zeskoczył z konia i uklonił się Czongowi: - Nie mogąc się doczekać twojego szczęścia, pozwoliłem sobie przywieźć moją siostrę bez uprzedzenia - Czong Yang był tak zaskoczony, że zapomniał o ukłonie. Na znak dany przez młodzieńca postawiono lektykę na ziemi. Służące otworzyły drzwiczki.

Czong Yang poczuł cudowny zapach.

Młoda panna, ubrana w szmaragdowe zielenie, złożyła przed nim głęboki ukłon. Jej twarz była krągła, cera jasna, prawie przezroczysta. Miała duże skośne oczy, przez cały czas spuszczone. Ondulowane włosy opadały na plecy jak gęste listowie wierzby o czarnym połysku.

Czong Yang nie był w stanie zrobić żadnego ruchu ani wypowiedzieć choć jednego słowa. Qing Yi trzykrotnie zaklaskał w ręce. Nadbiegło około dziesięciu służących. Zabierali się właśnie do wnoszenia na ramionach ciężkich kufrow, gdy dał się słyszeć młody, ale stanowczy głos:

- Drogi bracie, już ci mówiłam, że kobieta powinna dzielić życie z małżonkiem. Gdyby był żebrakiem, ona powinna żebrać z nim razem. Niech zabiorą to wszystko. Wolę pracować własnymi rękami.

- Nie złość się - powiedział z zakłopotaniem Qing Yi. Najwyraźniej miał zwyczaj ustępować woli siostry. - Wybacz, znowu zapomniałem o twoich zasadach. Ale proszę cię, przyjmij choć ten stół z białego marmuru.

Na jego znak tragarze ustawili pod kępą bambusów stół i trzy taborety, po czym odeszli.

Zwracając się do Czong Yanga, młodzieniec powiedział cicho:

- Widzisz, w naszej rodzinie to moja siostra rządzi! A teraz ty powinieneś ją poskromić...

Śmiejąc się głośno, wsiadł na konia.

- Opuszczam was. Do zobaczenia!

Służące poszły w ślad za swym panem. Dźwięki muzyki oddalały się, latarenki migały w bambusowym lasku jak świetliki. Po chwili zapadła cisza i ciemność.

Gdyby nie ujrzał na progu Liu Yi, Czong Yang pomyślałby, że to sen.

Następnego dnia dziewczyna wstała o świcie. Wysprzątała dom i przygotowała posiłek. Mówiła niewiele, ale nefrytowe pierścienie wiszące na jedwabnym pasku dzwoniły przy każdym jej kroku, jak miłe słowa. Jej stroje z pięknych haftowanych tkanin kontrastowały ze skromnością tego miejsca. Jej niezręczne ruchy świadczyły o tym, że zawsze była obsługiwana. Kiedy Czong Yang chciał jej pomóc, robiła zagniewaną minę i odpychała go.

Był olśniony tym nieoczekiwanym szczęściem. Przyjazd Liu Yi to jak kropla miodu w jego życiu, które miało posmak gorzkiej herbaty. Rozświetlała jego dni. Była motylem, który usiadł na pożółkłych kartach jego książki.

Teraz z każdej chwili tryskała pełna spokoju radość. Jesień zaczęła okrywać góry. Wysuszone przez ciepło bambusy powoli traciły listki. Tam gdzie słońce zastygało w bezruchu, ciemniały mchy, strumienie ściszały szum, skały przybierały blad różową barwę.

Starożytni mieli rację: bieda, trud pracy, cierpienie, samotność dotykają tych, którym pisana jest wspaniała przyszłość. Uradowany obecnością Liu Yi, prawdziwym darem, nagrodą od bogów, Czong Yang był przekonany, że niebawem podźwignie się z nędzy, że jego żywy umysł umożliwi mu zrobienie kariery.

Po skończonej nauce Czong Yang przechadzał się zacienioną ścieżką. Było mu tak dobrze, że wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Czasami nagle ogarniał go niepokój, a wtedy przyspieszał kroku i wbiegał na podwórko. Szukał wzrokiem Liu Yi. Siedziała, zajęta szyciem. Wzruszony, obcierał kilka łez perlących mu się na policzkach. Bał się, żeby nie zniknęła tak nagle, jak się pojawiła!

Pewnego razu zastał pusty dom. Wybiegł na dwór. Oślepiało go zachodzące słońce, bambusy zawodziły na wietrze, a chmury, jak zabłąkane czółna, kołysały się na horyzoncie.

Jak bez niej żyć?

Qing Yi przyjeżdżał w odwiedziny do siostry. Często się z nią przekomarzał. Wpadała w złość, a on rozplątywał się w przeprosinach. Czong Yang wiedział, że takie sprzeczki bawiły ich. W obecności brata Liu Yi nie była tak bardzo powściągliwa i ta zmiana trochę Czong Yanga niepokoiła. Wieczorem wszyscy troje zasiadali do kolacji przy stole z białego marmuru. Pili wino, które Qing Yi przywoził z ich rodzinnej krainy. Liu Yi grała na cytrze, akompaniowała bratu, gdy śpiewał zaimprovizowaną pieśń. Czong Yang nie

poznawał jej. Miała zarumienione policzki, oczy pełne blasku, jej śmiech wtórował wesołości Qinga Yi.

Któregoś dnia postanowiła pojechać na przejażdżkę. Qing Yi, który zwykle spełniał jej najmniejsze zachcianki, pomógł jej wsiąść na konia, sam zaś usiadł za nią, żeby trzymać uzdę. Czong Yang patrzył, jak dwie bliźniacze sylwetki oddalają się w stronę bambusowego zagajnika.

Księżyc jaśniał w pełni, niebo było bezchmurne. Zdawało mu się, że powracają do ich własnego świata. Pogrążony w rozpacz, Czong Yang płakał na progu swego domu.

Kiedyś zapytał Qinga Yi, skąd pochodzi. Młodzieniec odpowiedział uśmiechem. Od tego czasu niezliczone pytania prześladowały Czong Yanga. Z jakiego środowiska wywodzą się bliźniaki? Ich ubiór, maniery, obycie wskazywały na dobre urodzenie. Ale z jakiej rodziny w Zhejiang się wywodzili? Jaki urząd sprawował ich ojciec? Kim byli ich przodkowie? Qing Yi, jak się zdawało, wiódł dostatnie życie. W jaki sposób zarabiał pieniądze? Czym się zajmował?

Od czasu do czasu, naciskana przez Czong Yanga, Liu Yi niepewnym głosem, prawie szeptem, szkicowała niejasne zarysy swojego dzieciństwa, a była wtedy bardziej tajemnicza niż pejzaż przysłonięty mgłą. Młody człowiek nalegał. Spuszczała wzrok i uporczywie milczała. Dlaczego tak się zachowywała? Liu Yi powinna przecież mieć do niego zaufanie, powiedzieć mu prawdę. Gotów był dzielić z nią tragedię, jaką przeżywała w ukryciu. Czy pochodzi z rodziny zrujnowanej albo odsuniętej od dworskich łask? Gdzie mieszkają jej rodzice? Może są na wygnaniu albo skazani? Dlaczego - kiedy młodzieniec usiłował wyciągnąć z niej jakąś odpowiedź - łzy przesłaniały oczy Liu Yi, milczącej, głęboko poruszonej?

Dlaczego zamieszkała z oczytanym biedakiem?

Czy go kocha? Kim jest dla niej, schronieniem, pocieszeniem, nadzieją?

Rozgoryczony, doszedł do wniosku, że ona zawsze będzie dla niego tajemnicą, kobietą przewyższającą go, której nigdy nie potrafi zrozumieć. Wstydził się swego ubóstwa. Pozostawał więc w pewnym oddaleniu i pogrążał się w nauce. Liu Yi, która nie rozumiała jego ambicji, próbowała przekonać go, aby odstąpił od złudzeń zaszczytów i zadowolił się prostym życiem. Porwał go gniew. Patrzyła na niego ze smutkiem, tak jakby w jego złości wyczuwała niedobrą wróżbę.

Następnego dnia zaczęła robić koszyki z bambusowych witek. Chodziła sprzedawać je mieszkańcom wiosek i prosiła Czong Yanga, aby przerwał naukę przygotowującą go do dalszych studiów. Stawała się coraz bardziej milcząca.

- Powiedz mi prawdę: dlaczego tak ci zależy na mojej nędzy? Dlaczego się dla mnie poświęcasz? - spytał kiedyś Czong Yang.

Liu Yi zacisnęła wargi i nie odpowiedziała. Wobec jej milczenia Czong Yang, ogarnięty głębokim smutkiem, wyszedł z domu, trzaskając drzwiami, i pobiegł zaczerpnąć powietrza do lasu.

Wrócił, gdy zmierzchające światło gasło na horyzoncie. Zapadała ciemność. Przez uchylone drzwi dostrzegł Liu Yi przy kuchennym piecu. Z żeliwnego garnka unosiła się gęsta para i apetyczny zapach ryżu. Siedząc na taborecie, Liu Yi plotła bambusowe witki. W blasku ognia wydawała się jednak zgnębiona, smutna. Jej długie włosy opadały aż na podłogę. Zebrała je, zawiązała w kok i spięła bambusowym patyczkiem, po czym powróciła do swego zajęcia. Była nieco roztargniona. Nagle zadrżała jej ręka. Jedna z witek zraniła ją w palec wskazujący.

W roku 1444 Czong Yang pomyślnie przeszedł dwa egzaminy powiatowe, co pozwoliło mu przystąpić do konkursowego egzaminu regionalnego. Opuścił Liu Yi i góry, poszedł pieszo aż do głównego miasta prowincji. Instytut Ofiary, otoczony ufortyfikowanymi murami, odcinał się w południowo - zachodniej części miasta. Pośrodku wznosiła się wysoka wieża strażnicza. W długim rzędzie stało około stu drewnianych kabin; kandydaci, dokładnie sprawdzani przy głównym wejściu, mieli się w nich zamknąć. Wkrótce gong obwieścił zamknięcie drzwi instytutu. Kabina Czong Yanga mierzyła dwa metry wysokości, metr szerokości i półtora metra głębokości. W ósmym miesiącu księżycowym słońce paliło jej cienki strop pokryty dachówkami, przemieniając ją w piec. Czong Yang na próżno chłodził się bambusowym wachlarzem, który zrobiła mu Liu Yi. Co chwilę przerywał pracę, żeby wytrzeć pot. Każdy z trzech etapów egzaminu regionalnego wymagał trzech dni i dwóch nocy spędzonych w izolacji od świata. Wieczorem Czong Yang kładł się na stole. Brzęczenie komarów i przytłaczający upał nie dawały mu spać. Jedynie mata do spania, upleciona przez Liu Yi, dawała trochę świeżego chłodu i pozwalała odpocząć. Była gładka jak kobieca skóra.

W drugi dzień drugiego egzaminu rozpętała się burza. Deszcz wpadał do kabiny przez dach i przez okno. Wiatr wyszarpywał drzwi. Chcąc ochronić ryżowy papier, na którym pisał pracę egzaminacyjną, Czong Yang rozebrał się i przykrył go ubraniem. Nagle podniósł się krzyk. Strażnicy i nadzorcy kabin zaczęli sobie wymyślać. Zalane wychodki wypluwały nieczystości.

Wieczorem deszcz osłabł. Czong Yang trząśł się na mokrym legowisku, był wyczerpany, przygnębiony. Myślał o domowym ogniu i o Liu Yi, pracującej w blasku płomieni. Widział jej twarz, oczy błyszczące pod gęstymi rzęsami.

Zwrócił uwagę na jej szorstkie ręce, poranione palce. Ścisnęło się serce Czong Yanga. I znowu poczuł, że odradza się w nim dzika chęć odniesienia sukcesu.

Wyniki ogłoszono w porze dziewiątego miesiąca księżycowego, w czas kwitnienia drzew cynamonowych. Czong Yang był na piątym miejscu, otrzymał więc sztabki srebra, którymi miejscowi dostojnicy obdarowywali zwycięzców, promowanych na państwowych mandarynów. Za cały ten majątek młody człowiek kupił dla Liu Yi dwie bele jedwabnej tkaniny najlepszego gatunku i parę koralowych kolczyków. Od dawna nosiła już tylko bawełniane sukienki.

Ale po powrocie, pomimo jego protestów, Liu Yi ufarbowała jedwabne tkaniny na ciemny granat i wykroiła dla niego dwie nowe tuniki. Uszyła też mu dwie pary kamaszy.

Pod koniec jesieni Czong Yang wyjechał na egzamin cesarski. Liu Yi odprowadziła go do podnóża góry.

- Wrócę za sześć miesięcy, rzekł Czong Yang, ocierając łzy. Musi mi się udać. Będzie ci oszczędzona ta ciężka praca, nareszcie nasze życie stanie się przyjemne.

Liu Yi spuściła wzrok. Po dłuższej chwili milczenia powiedziała:

- Dam ci tylko jedną radę. Przyszedłeś na świat w dostatku i utraciłeś go. Nie zapominaj, że to nasze życie, tutaj, jest przemijające. Nie wiemy, czy dane nam będzie spotkać się w przyszłym życiu. Ani bogactwo, ani bieda nie powinny stanowić przeszkody w naszym szczęściu.

- Gdyby przytrafiło mi się coś złego w drodze...

Czong Yang zamilkł. Rozejrzał się wokół i na skraju drogi zauważył starą płaczącą wierzbę. Podprowadził Liu Yi do drzewa, kazał jej uklęknąć i sam zrobił to samo.

- Ta wierzba jest świadkiem naszej przysięgi - powiedział. - Jeśli w drodze przydarzy mi się nieszczęście, jeśli nie zobaczymy się już w tym życiu, spotkamy się zaraz

na początku życia przyszłego! Będziemy bliźniakami, razem przyjdziemy na świat i razem będziemy wzrastać, nigdy się nie rozstając.

Liu Yi zmarszczyła brwi. Nie podobały jej się te słowa, pełne złych przeczuć. Ale Czong Yang ponaglał ją. W końcu i ona złożyła przysięgę. Skłonili głowy przed płaczącą wierzwą.

- Liu Yi, miej pieczę nad... - głos uwiązł mu w gardle. -
Czekaj na mnie. Wrócę!

Liu Yi odwróciła się, żeby ukryć ból.

- Pytałeś, dlaczego przybyłam do twojego domu - rzekła.
- Moje milczenie wzięłeś za obojętność i cierpiełeś z tego powodu. Nie odpowiadałam, bo sama nie znam przyczyny...
Chciałam ciebie oglądać, słuchać twojego głosu, ofiarować ci moje życie... Już za dużo powiedziałam... Ruszaj. Błagam cię, idź już!

Czong Yang stał nieruchomo, odwróciła się więc i odeszła. Pobrząkiwały jej nefrytowe pierścienie, wiatr szeleścił suknią. Przyspieszała kroku, niemal unosiła się w powietrzu. Wkrótce jej postać rozplynęła się pośród drzew.

Dla młodego człowieka to był początek udręki.

Ani przez chwilę nie pomyślał o rezygnacji z tego marszu ku niepewnej chwale i o powrocie do swej chatki. Droga wiodąca do stolicy była pokryta pyłem, wiła się pośród pól i pagórków. Pałace słońce całym swym żarem osuszało gardło Czong Yanga. Nad jego głową rozpościerało się bezkresne niebo. Wydawał się sobie mały, śmieszny, zastanawiał się, dlaczego gdy doświadczył już dobra, idzie ku temu, co gorsze; dlaczego w każdej chwili, wzywany przez życie i miłość, błądzi w złudzeniach, które obejmują go swymi śmiertelnie niebezpiecznymi ramionami.

Krokiem ciężkim od obaw Czong Yang doszedł do stolicy po dwu miesiącach, z twarzą zabrudzoną, ogorzałą, w dziurawych butach, postrzępionym ubraniu.

Pekin, otoczony szeroką fosą, majestatycznie trwał w swych fortyfikacjach, wznoszących się ku niebu wieżami strzelniczymi i chorągwiami haftowanymi w smoki. Jaskółki krążyły ponad wieżami na murach, gdzie przechadzali się łucznicy. Hałaśliwy tłum napływał przez most zwodzony i wchodził główną bramą, podobną do szeroko otwartego oka.

Pierwszy cesarski egzamin odbył się w drugim miesiącu księżycowym, a z ogłoszeniem wyników czekano do chwili zakwitnięcia kwiatów śliwy. Czong Yang przeszedł do drugiego egzaminu konkursowego, przystąpił więc do ostatniego już etapu, po którym najlepsi mieli zaprezentować się przed cesarzem.

Egzaminy odbywały się w Zakazanym Mieście, pod dachem sali tronowej i na schodach z białego marmuru. Zadanie polegało na opracowaniu tematu z Czteroksięgu (Cztery księgi to: Dialogi konfucjańskie, Mengn, Doktryna Środka, Wielka Nauka.). Tego dnia, dziesiątego dnia czwartego miesiąca księżycowego, cesarz Ying Zong fetował nadejście cieplej pory. W przestronnej sali pił i śmiał się wraz ze swymi ministrami.

Minął miesiąc, a ciągle jeszcze nie ogłoszono wyników. Czong Yang mieszkał w oberży przy Wschodniej bramie Zakazanego Miasta, a ponieważ jego sakiewka była pusta, opuścił pokój i sypiał na parterze wraz z wędrownymi kupcami, jarmarcznymi handlarzami i przybyszami o podejrzanym pochodzeniu. Codziennie z rana wychodził z oberży, szedł wzdłuż purpurowego muru cesarskich pałaców, aż do bramy Niebiańskiego Spokoju, gdzie dwie kolumny z rzeźbionymi smokami - totemem chińskiej rasy - dumnie wznosiły się ku górze. Rozczarowany, dręczony niecierpliwością, zjadał zupę z makaronem na brzegu fosy, po czym błąkał się po uliczkach, snując marzenia i rozmyślając o swoim losie, a jego smutki zagłuszał zgiełk pekińskiego życia.

Mianowany mandarynem, jako zwycięzca kolejnych konkursowych egzaminów, które skruszyły ambicje prawie dziesięciu tysięcy kandydatów, otrzyma teraz państwowe stanowisko i powróci do swojej prowincji, gdzie obejmie posadę we władzach administracyjnych. Te niespodziewane honory nie były jednak w stanie zadowolić Czong Yanga, który od chwili przybycia do Pekinu stawiał sobie za cel zdobycie pozycji na dworze.

W czasie samotnych przechadzek młodzieniec spacerował obok książęcych pałaców. Czerwone bramy były strzeżone przez marmurowe lwy, przed wejściem siedzieli służący. Dzwonnica, wieżyczka, spadzisty dach pawilonu wylaniały się spoza murów, przypominając, że toczy się tam życie ukryte przed oczami plebejuszy. Od czasu do czasu otwierały się boczne drzwi, wychodzili nimi służący i pokojówki. Wyjeżdżały karety wyłożone połyskującymi jedwabiami, w eskorcie młodych, możnych panów. Wiatr unosił zasłonki i Czong Yang z daleka dostrzegał twarz, skraj sukni, włosy zdobione szlachetnymi kamieniami.

Pewnego ranka Czong Yang obudził się z przedziwnego snu. W cynobrowym kaftanie z wyhaftowanymi drapieżnymi ptakami* dowodził armią stojącą przy Wielkim

W czasach dynastii Ming, państwowi urzędnicy dzielili się na dziewięć kategorii. Ubrania koloru cynobrowego z wyhaftowanym wizerunkiem ptaka były zarezerwowane dla mandarynów czterech pierwszych kategorii, natomiast generałowie nosili ubrania z wyhaftowanymi obrazami dzikich zwierząt.

Murze. Przed oberżą odbywała się walka kogutów. Słysząc było przekleństwa, oklaski. Dwaj mężczyźni zaczęli się bić, podniósł się gwar. Czong Yang przypomniał sobie, że wydał ostatni grosz i pił aż do rana. Z ciężką głową, leżąc na

sienniku, który wydzielał mdły zapach, przyglądał się tłustym plamom na suficie.

Nie potrafił zebrać o pieniądze czy jedzenie, a był głodny. Właściciel oberży na pewno wyrzuci go na ulicę. Gdzie znajdzie schronienie, pracę, która pozwoli mu przeżyć do dnia ogłoszenia wyników?

Na nowo pogrążył się we śnie, gdy nagle ktoś gwałtownie ściągnął go z łóżka. Żołnierze wzięli go pod rękę i rzucili na kolana przed oficerem. Ten wyjął z długiego rękawa rulon papieru i zaczął czytać na głos.

Był to cesarski edykt, który wzywał Czong Yanga do stawienia się w pałacu. Zdumiony młodzieniec pokłonił się w stronę Zakazanego Miasta. Oficer schował rulon do rękawa. Zauważył leżący na brzegu siennika jedwabny kaftan, chwycił go i siłą włożył na młodzieńca. Żołnierze odepchnęli właściciela i gości oberży. Czong Yang, jeszcze pijany, nie mógł iść o własnych siłach. Wyprowadzono go na zewnątrz i posadzono na koniu. Żołnierze uderzali w gongi, żeby utorować przejście przez tłum. Orszak ruszył w drogę.

W pałacu, przy bramie Południowej, zebrało się już około dziesięciu laureatów. Po przybyciu Czong Yanga mistrz ceremonii zgrupował ich i poprowadził do Zakazanego Miasta. Przed wejściem do sali Wiecznej Harmonii kazał im czekać na rozpoczęcie audiencji. Pomimo pewnego ośpienia Czong Yang miał świadomość tego, co się dzieje. Stał z opuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w czubki butów i starał się powstrzymać torsje.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, rozległa się muzyka. Trzykrotnie strzelono z bata, zgodnie z ceremoniałem. W ślad za innymi Czong Yang złożył ukłon.

Z sali Wiecznej Harmonii dochodził głos, który wypowiadał imię laureata, powtarzane jakby niekończącym się echem przez lokajów i cesarskie straże. Czong Yang miał

wrażenie, że usłyszał swe imię, ale szumiało mu w uszach, kręciło się w głowie. Nie był w stanie odróżnić rzeczywistości od złudzeń, postanowił więc zachować milczenie i stać bez ruchu.

Widząc, że Czong Yang zwleka ze złożeniem ukłonu w podzięce za łaskę niebios, że stoi jak głuchy i osłupiały w grupie laureatów, mistrz ceremonii podszedł i brutalnie go popchnął. Czong Yang padł na kolana. Uderzył się, ból wyrwał go z upojenia. Dopiero wtedy pojął, że zaczyna się nowe życie.

Po skończonej ceremonii cesarscy mandaryni prowadzeni przez mistrza wyszli z Pałacu bramą Promieniejącej Moralności, potem bramami Czystej Ostrożności, Południową i Niebiańskiego Spokoju. Przekroczyli most Złotej Rzeki. Przed bramą Długiego Pokoju, znajdującą się we wschodniej części pałacu, czekała na nich uczta przygotowana przez ministerstwo rytów i ceremonii. Trzech pierwszych laureatów cesarskich egzaminów ubrano w szkarłatne jedwabie, na głowę włożono im kapelusze przystrojone złotymi kwiatami. Wznoszono toasty za długie życie Cesarza i chwałę Cesarstwa. Później służba pomogła mandarynom wsiąść na ustrojone pióropuszcami konie i straż honorowa odprowadziła ich do hotelu.

Czong Yang ujrzał swoje nazwisko wywieszane na stołecznych alejach. Ludzie przystawali, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Niekiedy otwierało się górne okno sąsiedniego pawilonu. Młodziutkie dziewczyny, ukryte za przezroczystą zasłoną, śmiały się, trącały wachlarzami, rzucały nieśmiało porozumiewawcze spojrzenia.

Głęboko poruszony właściciel oberży błagał go, by zamieszkał u niego w domu. Przeniósł w inne miejsce rodzinę, a własną służbę dał młodemu mandarynowi.

Szybko nadszedł wieczór, zapadła cisza. Czong Yang padł na łóżko. Ogarnęła go głęboka melancholia. Ileż to razy marzył o takim wspaniałym życiu! Jakie szczęście przynosi taka egzystencja? Czy będzie inna niż życie zwykłego wykształconego człowieka? Oczywiście nigdy już nie zazna głodu, nie będzie cierpiał z zimna, panującego w górach. Ale za jaką cenę? Czong Yang wiedział, co czeka go na dworze. Religia konfucjańska głosiła wyrzeczenie, poświęcenie, oddanie państwu, posłuszeństwo swemu panu. A w książkach historycznych czytamy tylko o intrygach, walce o odpowiednią pozycję, niezaspokojonym pragnieniu coraz większej władzy.

Marzenie spełnione to marzenie, którego już nie ma. Czong Yang nigdy nie był tak przytomny jak w tej chwili. Jeśli dzisiaj przyjmie dary Fortuny, jutro będą go pociągać inne, kolejne pokusy osiągnięcia chwały. Myśl o takiej przyszłości przyprawiała go o zawrót głowy. Pomyślał też o Liu Yi. Była mu pocieszeniem. Ujrzał ją w szmaragdowej sukni, pracującą przy splataniu bambusowych witek. Prosta, pokorna, uznająca wartości inne niż te, które panują w tutejszym świecie. Powinien wrócić do domu. Liu Yi zadecyduje o jego życiu. Jeśli zechce, Czong Yang odrzuci kapelusz laureata i opuści stolicę.

Następnego dnia otrzymał prezent od cesarza: dworska tunika zdobiona klejnotami, sztabki złota, bele brokatu. Ubrany w nowy strój, Czong Yang musi stawić się w pałacu, żeby podziękować Jego Cesarskiej Łaskawości. Cesarz wychwalał jego talent i powierzył mu wysoką funkcję. Gdy Czong Yang zakończył głębokie pokłony, cesarz spytał, czy jest żonaty. Czong Yang zawahał się. Nie było ceremonii zaślubin z Liu Yi. Zarumienił się i odpowiedział „nie”.

Zaczął się długi rytuał gratulacji i podziękowań. Cesarscy urzędnicy podchodzili po kolei do nowego laureata. Starali się

zdożyć życzliwość młodego mandaryna, którego cesarz raczył pochwalić. Ofiarowali mu sztabki złota. Z fałszywie przyjacielską cierpliwością kreślili obraz dworu. Płaszcząc się służalczo, wskazywali strony w konfliktach i dawali przestrogi. Czong Yang odwiedzał mandarynów. Składał wizyty ministrom. Książęta zapraszali go na wystawne obiady. Rozmawiano tam o reformie rolnej, incydentach na granicy, wielkich przemianach. W towarzystwie legendarnych poetów i słynnych kurtyzan upajano się dźwiękami muzyki wykonywanej przez największych mistrzów, przy degustacji egzotycznych owoców, których sprowadzanie z daleka wyczerpywało ludzi i konie.

Jedenastego dnia miał wizytę cesarskiego prowizora, człowieka osiemdziesięcioletniego, powściągliwego i wyniosłego. Przybył jako wysłannik księcia Yi Yu, młodszego brata cesarza, z propozycją małżeństwa. Młody książę, jak oznajmił, kilkakrotnie już zwracał uwagę na nowego laureata i wysnuł wniosek, że jego wytworne maniere i harmonijna fizjonomia zapowiadają niezwykłą przyszłość. Postanowił więc doradzić cesarzowi bratu, aby oddał rękę jednej z ich sióstr Czong Yangowi - oczywiście za jego zgodą. Prowizor, który zna tę piętnastoletnią księżniczkę, dodał, że ma ona szlachetne serce i niespotykaną urodę.

Słowa starca wywołały u młodzieńca zmieszanie.

Po kilku dniach obserwacji zrozumiał, o co chodzi i skąd biorą się niedomówienia na dworze. Przed dziesięcioma laty cesarz wstąpił na tron, mając niespełna dziewięć lat. Cesarska babka przestrzegała zwyczajów przodków, które zabraniały mieszania się kobiet do polityki, i nie wyraziła zgody na regencję. Władza dostała się więc w ręce kapryśnych ministrów, którzy dali się już poznać za rządów Re Zonga, cesarskiego dziadka. Tymczasem Wang Zhen, eunuch, mistrz ceremonii, cieszył się całkowitym zaufaniem boskiego

Dziecka. Jego władza z każdym dniem stawała się silniejsza i wkrótce cesarz - już młodzieniec - nie mógł się bez niego obyć. Kiedy zmarła cesarzowa babka i regencyjni ministrowie, Wang Zhen, popierany przez siepaczy Jin Yi (Jin Yi, „Gwardia w Haftowanych Mundurach”, ministerstwo w epoce dynastii Ming (1368 - 1644). Zadaniem gwardii było czuwanie nad bezpieczeństwem cesarza i państwa. Była niezależna od ministerstw spraw wewnętrznych i sprawiedliwości.) , wyeliminował opozycję i wziął rządy w swoje ręce. Książę Yi Yu, pomimo młodego wieku, miał umysł żywy i jasny. Ministrowie, zjednoczeni w nienawiści do eunucha Wang Zhena, skupili się wokół osoby księcia i udzielali mu rad. Jeśli ten książę chce ożenić Czong Yanga ze swą siostrą, to znaczy, że ma zamiar przyciągnąć go do swojego klanu.

Przez trzy dni Czong Yang udawał chorobę i nie pokazywał się na dworze.

W obecności Cesarza oświadczył, że żyje w samotności. Gdyby wspomniał o istnieniu kobiety w swoim życiu, zaprzeczyłby samemu sobie. Ukrywanie prawdy przed Synem Nieba to zbrodnia obrazy majestatu, ścięto by mu za to głowę. Gdyby - jako kawaler - odrzucił rękę księżniczki, byłby zuchwalcem, cudakiem, zasługującym jedynie na wygnanie.

Zmuszano go do wybrania jednego z dwóch całkiem różnych rodzajów życia: zostać szwagrem Cesarza, poznać pałacowy przepych, podniecające wspinanie się po szczeblach kariery, ale wieść życie pomiędzy drapieżnikami, albo powrócić do spokoju rodzinnego szczęścia.

Dlaczego Miłość i Ambicja wzajemnie się wykluczają!

Uroczystości ślubne trwały trzy miesiące. W całej stolicy panowała radość. Nowy członek boskiej rodziny oczarował lud swoją godnością, urodą i nieco melancholijnym wyrazem twarzy.

Czong Yang zamieszkał we wspaniałym pałacu, urządzonym dla młodej pary. Przyozdobiony kamieniami i altankami ogród, rozciągał się w tylnej części rezydencji, tuż za pokojem małżeńskim.

Pewnej nocy obudził go, jak mu się zdawało, głos Liu Yi, wołający go po imieniu. Wstał. Wiatr poruszał liśćmi, Czong Yang miał wrażenie, że Liu jest gdzieś tutaj, w ciemnościach.

- Liu Yi... - szepnął.

Piwonie kołysały się na wietrze, szepcząc przestrogi.

Księżniczka była inteligentną młodą kobietą, która umiała przewidzieć najmniejsze pragnienia małżonka. Dla rozproszenia jego smutku, którego przyczyny nie знаła, kazała zbudować ogromny statek i w letnie dni książęca para wypływała w dół Wielkiego Kanału, spożywając rozmaite specjały przy dźwiękach fletu. Księżniczka tresowała żurawie, które płąsały w świetle księżyca, urządzała zabawy, podczas których występowały najlepsze zespoły operowe, organizowała konkursy poezji, na swych rozległych posiadłościach wznosiła pałace. Żeby przekonać męża o swej miłości, z wielką starannością i tkliwością dobierała mu najpiękniejsze konkubiny, których igraszki miały rozproszyć jego smutki.

Na dworze nowy laureat odznaczał się chłodną powagą i przenikliwością, która nakazywała szacunek. Cesarz powierzył mu reformę rolną, Czong Yang doskonale wywiązał się z tego zadania. W ten sposób podkreślił prestiż księcia Yi Yu. Ale wokół siebie miał wrogów. Eunuch Wang Zhen nienawidził go. Inni zazdrościli mu majątku, ale podziwiali jego rozsądek, cierpliwość, stanowczość. Gdy wciągano go w intrygi, bywał okrutny. Aby się przed tym chronić, nauczył się nadskakiwać jednym i niszczyć innych. Uratował tysiące chłopów przed głodem, ale także doprowadził rywali do tortur, do śmierci. Jego charakter bardzo się zmienił. Często

wpadał w złość. Czasami zamykał się w swej samotności i wtedy znowu stawał nad życiową otchłanią, czego już niegdyś doświadczył po śmierci rodziców. Milczenie pokrzepiało go i jednocześnie przytłaczało. Wtedy dzwonił na służbę: niech przygotowują biesiadę! Przyjeżdżali generałowie, mandaryni, dworzanie, jego pałac wypełniał się jedwabiami, klejnotami, przyjemnymi twarzami. Miłe komplementy sprawiały, że zapominał o górach, bambusowym lasku, małym domku.

Pewnego wieczoru śniła mu się Liu Yi.

- Moje gratulacje, powiedziała z lekkim pokłonem.

- Pożerał ją wzrokiem. Nic się nie zmieniła. - Gratulacje

- powtórzyła smutnym głosem. - Jesteś u szczytu sławy.

Wzruszenie prawie całkiem odebrało mu słuch. Nie usłyszał, co do niego powiedziała.

- Nareszcie, jesteś - westchnął.

Wstał, podszedł do niej, chciał ją objąć. Cofnęła się o krok.

Czong Yang tysiące razy rozmyślał o pierwszych chwilach ich spotkania. Nigdy nie przypuszczał, że widok Liu Yi przepełni go tak wielką radością. Zapomniał, że to on był winny. Wydawało mu się, że rozstali się zaledwie wczoraj, a tak bardzo brakowało mu Liu Yi! Był szczęśliwy, że mógł ją zobaczyć, uśmiechnął się.

Ten uśmiech uraził ją. Zniknęła.

Poczekaj, Liu Yi, poczekaj! Nie zostawiaj mnie samego!

Czong Yang obudził się, był głęboko poruszony. Uwolnił się z objęć konkubiny. Było jeszcze ciemno. Wymknął się z pokoju, zabrał sztabki złota, kazał sobie przynieść płaszcz podbity futrem. Udając, że został pilnie wezwany na dwór, wskoczył na konia i zabronił, aby za nim jechano. Za dziesięć dni, liczył, będzie już w górach i weźmie w ramiona Liu Yi.

Na ulicy odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na pałac. Latarnie ozdobione smokami oświetlały purpurowe mury i

bramy najeżone ćwiekami z brązu. Pawilony i wieże po drugiej stronie murów rzucały w półmroku powykrzywiane cienie. To ostatni obraz z czasów jego świetności, jaki zachowa w pamięci. Gdy wstanie dzień, rozwieją się niedobre urojenia, Czong Yang zdejmie dworską tunikę i jak zwyczajny wędrowiec powróci, bez zatrzymania, do domu.

Młodzieniec miał właśnie popędzić rumaka do galopu, gdy pojawili się liczni jeźdźcy i wołali go jego dworskim tytułem. Eunuchowie przekazali mu rozkaz cesarza, który wzywał go na dwór. Mongolskie hordy przekroczyły granicę chińską i wtargnęły do miasta Ta Tong.

W połowie siódmego miesiąca księżycowego cesarz zgromadził pięciusettyśmiczną armię i bramą Jiu Yong wyszedł poza Wielki Mur. W drodze Wang Zhen, który od długiego czasu prowadził handel bronią z Mongołami, gnębił żołnierzy. Z braku zapasów żywności umierali z głodu i zimna. Przed przybyciem do Ta Tong eunuch przekonał cesarza, że trzeba wrócić do Pekinu. Rozproszoną armię chińską dopadła konnica mongolska. Wymordowano trzysta tysięcy żołnierzy, pięćdziesiąt tysięcy mandarynów, tyle samo wojskowych przywódców.

Czong Yang zebrał tych, którzy przeżyli, kazał powiesić Wang Zhena i powrócił do Pekinu. Na dworze panowało poruszenie z powodu klęski, mówiono już nawet o przeniesieniu stolicy na południe. Czong Yang sprzeciwił się temu pomysłowi. Z poparciem generałów wprowadził na tron księcia Yi Yu, a tym samym odsunął zagrożenie ze strony wrogów, którzy trzymali cesarza jako zakładnika.

W dziesiątym miesiącu księżycowym Mongołowie otoczyli Pekin. Zaskoczeni oporem stolicy barbarzyńcy, raczej łupieżcy niż zwycięzcy, wycofali się. Po powrocie na stepy uwolnili zakładników. Ying Zong, gdy wrócił do Pekinu,

został uwięziony w Zakazanym Mieście przez swego młodszego brata, który chciał zachować koronę.

Wojna zwiększyła prestiż Czong Yanga. Mianowany przez nowego cesarza pierwszym cesarskim doradcą i wielkim marszałkiem, tak mocno trzymał dwór w ryzach, że nikogo się już nie obawiał. Nawet Syn Nieba nie ważył się podjąć decyzji bez zasięgnięcia jego rady. Lud go wielbił, uznając za zbawcę Chin. Przemieszczał się z wielkim szumem: fanfary, chorągwie, eskorta i obwoływacze rozpędzali tłum, wykrzykując jego imię. Jego los, na początku podobny do wąziutkiego strumyka, stał się teraz rwącą rzeką, ciągle wzbierającą. Błagano go o łaskę i opiekę. Jego rozkazy były skrupulatnie wykonywane. Uważnie obserwowano jego gesty i spojrzenia, odgadywano zamiary i uprzedzano je, żeby służyć mu jak najlepiej. Niektórzy, nie mogąc do niego dotrzeć, starali się przekupić jego służących, przed którymi odczuwano lęk, jak przed panami.

Czong Yang skończył trzydzieści lat. Z upojeniem, ale i smutkiem patrzył, jak powiększa się jego władza i majątek. Wielkość pochlebiała mu, ale jednocześnie budziła niepokój. Obawiając się skrytobójczego zamachu na swoje życie, podwoił strażę i kazał próbować przeznaczone dla siebie jedzenie. Był przesądny, wprowadził praktykę wszystkich religii. Dla zjednania przychylności bogów na jego rozkaz w okolicach Pekinu wybudowano świątynię taoistyczną, tybetańską pagodę, klasztor buddyjski; nakazał, aby w jego imieniu wznoszono tam modły. Przed oblężeniem Pekinu miał zamiar zrezygnować ze wszystkich honorów i osiąść w górach. Dzisiaj, gdy został panem Cesarstwa, o swoją sławę troszczył się tak samo jak o swój własny dom, postanowił więc pozostać.

W dalszym ciągu prześladował go obraz Liu Yi. To był jedyny wyrzut sumienia tego człowieka, niemal całkiem

spełnionego. Jedząc wyrafinowane dania, tęsknił za jej prostymi skromnymi posiłkami. Otoczony słynnymi pięknościami, żałował, że żadna z nich nie mogła się z nią równać. Potrzebował kobiety takiej jak Liu Yi, będącej uosobieniem łagodności, powściągliwości i niewinności. Ona jedna umie go pocieszyć, jak zwykle, ze spuszczonej oczami. Jej uśmiechy, jak promienie słońca, rozjaśniłyby jego życie.

Wyrzuty sumienia Czong Yanga były tak gwałtowne, że w jej ukazywaniu się upatrywał kary bogów. Przerażony, oznajmił księżniczce, swej małżonce, że bierze nową konkubinę, i wysłał w góry oddział żołnierzy, lokajów, służących, muzyków. Napisał list do Liu Yi, w którym opowiadał jej o swym życiu od opuszczenia domu i wyjaśniał, jakie funkcje sprawuje na dworze. Gorąco przeproszał za swe milczenie, prosił, żeby przyjechała do Pekinu.

Cierpliwość i nadzieja Czong Yanga zostały wystawione na ciężką próbę - w końcu wysłannicy powrócili. Intendent, który stał na ich czele, zwrócił swemu panu bele brokatu, szkatułki z perłami i klejnoty przeznaczone dla Liu Yi. Przywiózł też list. Czong Yang rozpoznał jej pismo.

Liu Yi dziękowała za prezenty. Przyzwyczajona do wiejskiego życia, pisała, nie potrzebuje takiej obfitości. Lata rozstania nie osłabiły jej uczuć. Żyje wspomnieniami, jest szczęśliwa, że otaczają ją przedmioty, które do niego należały. Przyjechał po nią brat, ale nie chciała z nim jechać. Duszą i ciałem oddana jednemu mężczyźnie, uważa się za jego cień. Na dworze stałaby się jego niewolnicą, jego zabawką. Tu w górach może go naprawdę kochać i być przez niego kochaną. Potęga i bogactwo są tylko urojeniem. Będzie oczekiwać jego powrotu, jeśli tak ma być, nawet do końca swych dni.

List od Liu Yi wprowadził Czong Yanga w rozpacz. Rozwścieczony skazał na banicję intendenta i wyprawił w

drogę swojego osobistego sekretarza z nieliczną eskortą, skromnie ubraną, aby doręczył kolejny list Liu Yi. Błagał, żeby przyjechała i z nim zamieszkała. Wzniesie dla niej górę w okolicach Pekinu, zasadzi bambusowy las, i będzie mogła tam żyć w błogim spokoju.

Po wyjeździe sekretarza niecierpliwość i niepokój znowu ogarnęły Czong Yanga. Z udręczającą przyjemnością widział w wyobraźni góry, bezkresną krainę, tak już zamazaną i odległą. Pamiętał zapach bambusu, zmieszany z zapachami z kuchni, szelest wiatru, cierpki smak herbaty, plusk strumyków, całe minione życie.

Ale jak powrócić do tamtego życia?

Pewnego wieczoru Liu Yi ukazała mu się we śnie; była wychudzona. Miała podkrążone oczy, zmatowiałe włosy.

Westchnęła głęboko. Długo patrzyła na Czong Yanga, a potem słabym głosem zaczęła błagać, aby do niej wrócił.

Słyszając te słowa, Czong Yang poczuł skurcz serca. Chciał opowiedzieć jej o swym smutku, powiedzieć, jak bardzo mu jej brakuje. Gotów był wyznać, że życie dworskiego dostojnika stało się dla niego więzieniem.

Duma ścisnęła mu gardło, więc milczał.

Liu Yi patrzyła na niego swymi oczami, które jeszcze bardziej pociemniały. Nagle, przerażona obrazem, tylko dla niej widocznym, zakryła twarz dłońmi i znikła gdzieś w mroku. Widząc, że znika, Czong Yang wykrzyknął jej imię, chciał ją zatrzymać. Nie odpowiedziała. Usłyszał brzęczenie nefrytowych pierścieni; wtedy ogarnęła go tęsknota za minionym szczęściem. Wstrząsany szlochem, obudził się.

Drugi orszak powrócił, przywiózł następny list. Liu Yi wzywała go do zachowania rozsądku. Radziła, aby natychmiast opuścić dwór, tak jakby pozostanie na nim groziło niebezpieczeństwem.

Czong Yang wpadł w złość. Dlaczego chce czekać, dlaczego trwa w swym uporze? Wydawało mu się, że zna odpowiedź.

Postanowiła przeciwstawić jego niestałości swoją wierność, jego próżności swoją pokorę.

Nikt oprócz niej nie ważył się mu sprzeciwić, być mu nieposłusznym. Czong Yang zbuntował się w końcu przeciw tej, która go nawiedzała, osądzała i pogardzała jego potęgą. Wezwał swego prywatnego sekretarza i kazał mu zawieźć do Liu Yi sztabki złota oraz - na znak zerwania - nienapisany list.

Pewnej nocy, kiedy siedział sam na werandzie, ukazała mu się kobieta w szmaragdowej sukni, pośrodku ciemnego pola piwonii. Zadrzał, wydawało mu się, że śni. Ale ona przemówiła. Jej głos brzmiał jasno i wyraźnie, pomimo szelestu kwiatów.

- Dlaczego nie pozwalasz mi czekać? - pytała Liu Yi. - Dlaczego odbierasz mi nadzieję?

Przerwała, aby wziąć oddech. Jej twarz była blada. Czong Yang zauważył, że ma na sobie to samo ubranie, co za pierwszym razem, kiedy przybyła do niego w lektyce. Włosy, znowu lśniące, błyszczały w ciemności. Była lekko umalowana, jej twarz jaśniała. Pod suknią podszytą jedwabiem widać było, przy szyi, drugą suknię, koloru turkusowego. Obie były spięte agrafą ze szmaragdami i paskiem plecionym ze złotych nici. Pięć pierścieni związanych tą samą szarfą wisiało u paska. Pierwszy miał barwę jesiennych liści, drugi płomieni, a ostatni był purpurowy jak krew.

- Każesz mi zerwać - rzekła z rozpaczą w głosie. - Będę posłuszna! Żegnaj, Czong Yang. Ty obudziłeś we mnie życie, otoczyłeś mnie czułością. Wzbudziłeś we mnie tak silne uczucie, że nie potrafię nawet go nazwać. Źle mnie zrozumiałeś. Nie pogardzam tobą. Usiłowałam tylko wznieść

się do twego poziomu. A teraz, ponieważ nie mogę iść twoją drogą, oddaję ci moje życie!

Czong Yang chciał jej odpowiedzieć, ale odwróciła twarz. Gwałtowny powiew wiatru w ogrodzie poruszył jej suknię. W świetle księżyca Czong Yang ujrzał jej stopy, zapadające się w ziemię; włosy powiewały w powietrzu i przemieniły się w wiotkie gałęzie. Jej oczy, usta, nos wtopiły się w łuskowatą korę, która zaczęła pokrywać jej ciało.

Liu Yi zniknęła. Na jej miejscu płacząca wierzba poruszała gałęziami, szumiąc tak, jakby Liu Yi jeszcze mówiła. Zdumiony Czong Yang nie zdołał nawet wypowiedzieć jednego słowa. Liście wierzby zaczęły żółknąć, opadły z gałęzi, zawirowały na wietrze, po czym przeleciały ponad murem. W jednej chwili drzewo wyschło, pozostał tylko pień pozbawiony soków.

Qing Yi, którego Czong Yang nie widział od bardzo dawna, ukazał się przy bramie ogrodu. Podbiegł do wierzby płaczącej, objął ją rękami i zrosił swoimi łzami.

Potem odwrócił się w stronę Czong Yanga, który ze zdumieniem go obserwował. Powiedział: „Nie jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami, lecz dwiema wierzbami, które zasadziłeś pod twym oknem. Kiedy byliśmy dziećmi, moja siostra złożyła przysięgę, że wynagrodzi twoje dobrodziejstwo. Teraz los każe nam cię opuścić”.

Złożył ukłon przed Czong Yangiem i rozplynał się w ciemnościach.

Czong Yang nagle obudził się, ogarnął spojrzeniem ogród. Nie znalazł tam nic niezwykłego. Piwonie, kołysane nocnym wiatrem, szeptały tak, jakby ktoś mówił ściszym głosem.

Do Pekinu powrócił posłaniec, którego Czong Yang wysłał w góry. Zwrócił mu sztaby złota.

Wybuchły konflikty na granicy. Czong Yang wziął swoją pieczęć wielkiego marszałka i wyjechał z Pekinu. Ostrzegano

go przed niebezpieczeństwem oddalenia się od dworu. Ale Czong Yang źle się czuł w stolicy. Cierpiał na dziwne przygnębienie, które jedynie wojna - jak sądził - może uleczyć.

Poza Wielkim Murem, w kraju barbarzyńców, wiatr przetaczał kamienie tak duże jak koła powozu. Rzeniu wierzchowców odpowiadał jak echo ochryply dźwięk trąbek, łopot chorągwi, szczęk żelaza. Napięcie, lęk i duma były tak silne, że Czong Yang powrócił do równowagi.

W połowie szóstego miesiąca księżycowego zaczęły padać grube płatki śniegu, podobne do gęsiego pierza. Po bitwach biel ziemi była zbrukana, pokryte zwłokami ludzi i koni, trawą zabarwioną krwią.

Cesarz wysłał do niego list. Umierał. Czong Yang, pędząc bez wytchnienia, wrócił do stolicy. Przed bramą do pałacu został zatrzymany przez cesarskie straże.

Kilku ministrów, wykorzystując nieobecność Czong Yanga i agonię Yi Yu, kazało otoczyć pałac wojskiem.

Po zamachu stanu, który go uwolnił, i śmierci Yi Yu, Ying Zong przejął koronę i skazał Czong Yanga na karę śmierci. Rok później z okazji małżeństwa Ying Zonga z cesarską księżniczką kara została złagodzona; wygnano go na Wyżynę.

Droga przechodziła przez jego rodzinne miasto. Szli główną aleją. Zwabiony dźwiękiem gongów i szczękiem żelaznego łańcucha, którym spętane były nogi Czong Yanga, tłum gromadził się na chodnikach i okazywał zadowolenie na widok przestępcy. Czong Yang dostrzegł swój dom, którego nie widział od dwunastego roku życia. Błagał strażników, żeby pozwolili mu wejść, oddał im resztę monet, które jeszcze miał przy sobie.

Okiennice były zamknięte, chwasty porastały dach domostwa niegdyś tak okazałego. Mur był zburzony, marmurowe inkrustacje zniszczone, zrujnowane kolumny,

futryny z cennego drzewa powyrywane. Łupieżcy wszystko rozkradli. Nic już nie pozostało z dzieciństwa.

Przed oknami jego pokoju, pokryte kurzem i pajęczynami sterczały zbutwiałe pnie dwóch wierzb płaczących.

Czong Yang przypomniał sobie scenę rozstania z Liu Yi: z czułością poprowadził ją pod najstarsze z drzew; przysięgli sobie, że spotkają się na początku przyszłego życia, złączeni jak brat i siostra.

A teraz Czong Yang widział przed sobą jedynie mrok.

II

Moja rodzina przybyła na cesarski dwór w połowie XIV wieku, gdy generał Zhu Yuanzhang po wypędzeniu z Chin Mongołów ogłosił się cesarzem i założył dynastię Ming. Suto wynagrodził swych wojennych towarzyszy, a generałowi Meng Kai, mojemu pradziadowi, przyznał tytuł księcia Długiej Pomyślności.

Przez trzy wieki, poprzez dziesięć pokoleń, moja rodzina nieustannie cieszyła się majątkiem, autorytetem i chwałą. Synowie zajmowali wysokie stanowiska, córki były doskonale wydawane za mąż.

A później, wraz z nadejściem głodu, pojawiły się bandyckie hordy. Przemierzały kraj, zdobywały prowincje, otoczyły Pekin i sforsowały bramę Zakazanego Miasta. Cesarz powiesił się w ogrodzie, a na tron wstąpił generał Li Zicheng, przywódca buntowników.

Mandzurscy barbarzyńcy, wykorzystując zamieszanie w cesarstwie, nadjechali z północy. Zdradziecki generał otworzył im bramę Wielkiego Muru. Li Zicheng, uzurpator, zginął przeбитo strzałami. Przywódca barbarzyńców, nowy pan Zakazanego Miasta, założył dynastię Qing.

Trzystu członków naszej rodziny zginęło podczas wojennej zawieruchy albo pod katowskimi toporami. Jeden z moich przodków uniknął zagłady. Błąkał się przez dwa lata, zanim osiadł na wyżynie południowo - zachodniej. Rwęce rzeki, łańcuchy stromych gór, zamieszkiwane przez dzikie ludy, chroniły go i pozwalały zachować tajemnicę jego pochodzenia. Zmienił nazwisko, powtórnie się ożenił, zbudował twierdzę nad przepaścią, poświęcił się hodowli bydła.

W czasie niekończącego się oczekiwania na upadek cesarstwa mandzurskiego i powrotu rządów mandaryńskich moi przodkowie powoli słabli i bogacili się. W rodzinie było

dużo córek, które wydawano za miejscowych panów; w ten sposób rodzina miała złudzenie wszechmocy. Jednak jakby ciążyło nad nimi jakieś przekleństwo, mężczyźni potomkowie rzadko przychodzili na świat i przez wiele pokoleń rodzina była bliska wygaśnięcia.

Mój ojciec poślubił córkę bogatego kupca z południowego zachodu. Młoda żona wniosła w posagu ziemię, stada bydła i sklepy. Przed upływem dwóch lat po ślubie ojciec kupił dwie konkubiny. Żadna z tych kobiet nie wydała na świat dzieci.

W końcu moja matka, ta zacna dama, po trzech tysiącach dni żarliwej modlitwy i bolesnym leczeniu zaleconym przez czarownicę, zaszła w ciążę. Wraz z bratem dzieliliśmy pierwsze chwile w brzuchu naszej matki, czoło w czoło. Byliśmy złączeni jak jedno ciało.

Przestrzeń, w jakiej żyliśmy, stała się wkrótce przytłaczająco ciasna. Szarpałam się. Mój brat także, ale jego ruchy były bardziej gwałtowne. Pchał się, trącał mnie, dusił, odpychał stopami, brał rozmach i deptał moją głowę.

Słyszałam oddalony krzyk. To jakiś nieznamy głos, krzyczący ze szczęścia i z dumy. Zrozumiałam, że brat mnie opuścił, bałam się samotności. Byłam smutna, zrozpaczona, nie wiedziałam, co wybrać, sen czy walkę. Kuliłam się, a potem uderzałam głową w miękką ścianę, która mnie otaczała. Byłam osłabiona, przyduszona, ale nagle świeże powietrze, światło, zimno! Ktoś złapał mnie za nogę i uderzył w pośladek. Zimno mi! Zimno mi! Z mojego gardła wydobył się krzyk, zaczęłam płakać.

Służące szybko zabrały się do szycia dodatkowych ubranek. Mojego brata i mnie umieszczono w dobrze ogrzonym pokoju, położono nas obok siebie na łóżku, każde zawinięte w osobną kołderkę z miękkiego watanianego jedwabiu. Słysząc zbliżające się kroki. Tłum wszedł do pokoju.

- Gdzie jest mój syn Chunyi, Dobra Wiosenna Wróżba? - spytał męski głos z niecierpliwością.

- Ten grubszy, bardziej różowy, ten, który głośniej płacze, panie - odpowiedział drugi monotony głos.

Zaczęły się gratulacje. Chwalono mojego brata, podziwiano jego urodę. Wybuchwały śmiechy.

Kobięcy głos, stanowczy, lecz drżący, uciszył obecnych: „Ta dziewczynka jest tak chuda, że chyba nie przeżyje. Synu, mimo wszystko nadaj jej jakieś imię. I wezwij robotnika, żeby zrobił dla niej trumnę”.

Rozległy się szepty. Po dyskusji ustalono, że będę się nazywać Chunning, Spokój Wiosny.

Z zamkniętymi oczami, ściągniętymi brwiami, pogrążałam się w moim milczeniu. Niekiedy donośny płacz brata wyrывał mnie ze świata ciemności, którego głębokość poznawałam. Nagle zaczynałam płakać. Paliły mnie policzki, mój krzyk był rozdzierający. Chciałam przeciwstawić się bratu. Ale chłopiec, podrażniony, krzyczał coraz głośniejsze, aż zaczynałam się dławić, a mój płacz przypominał słabe miauczenie.

Babka oderwała mojego brata od piersi naszej matki, osłabionej porodem, i przeniosła go do osobnego pokoju. Znalazła mu mamkę, krzepką, utuczoną jak domowa gęś. Po przeniesieniu Chunyiego z dnia na dzień zaczęłam przybierać na wadze.

W wieku trzech lat, ubrany w dziecięcy kaftan, w lekkim hełmie na głowie, mój brat został posadzony na końskim grzbiecie.

Kiedy skończył cztery lata, babka sprowadziła dla niego słynnego nauczyciela z prowincji Syczuan.

Wkrótce jednak stara dama zmarła. Na jej pogrzebie ktoś chwycił mnie za rękę i popchnął w stronę chłopczyka o nadąsanej minie.

- Chunyi, to twoja siostra Chunning; Chunning, to twój brat Chunyi - powiedziano.

Pochyliłam się w ukłonie. Miał na sobie żałobne ubranko z białego lnu. Zachowałam wspomnienie mojego brata zawiniętego w kołderkę, kiedy potrafił tylko potrząsać głową, żeby wydobyć z siebie krzyk. Przez pięć lat kiedy żyliśmy rozdzielni, bardzo urósł. Nie rozpoznałam jego twarzy, kiedyś drobnej, czerwonej, pomarszczonej. Był ode mnie wyższy o głowę. Wojskowe ćwiczenia pogrubili jego ręce, poszerzyły ramiona. Jego mięsiste policzki otaczały nos, prawie orli; patrzył na mnie z wrogością. Uśmiechnęłam się do niego. Uniósł górną wargę i odpowiedział okropnym grymasem. Przestraszyłam się, łzy napłynęły mi do oczu. Brat obserwował mnie, zadowolony z mojego przerażenia. Udało mi się powstrzymać płacz i znowu się do niego uśmiechnęłam. Odwrócił głowę.

Dzień po pogrzebie zabrano go od mamki i przeniesiono do mieszkania naszej matki. Udało mu się jednak zmylić czujność i pobiegł do mamki, która pracowała w kuchni. Wypuściła z rąk naczynia i chwyciła go w ramiona, rozpluwając się we łzach. Ukryli się w składziku, tam rozpięła koszulę. Leżąc na jej kolanach, z przymkniętymi oczami, mój brat złapał pierś i ssał. Jego druga ręka bawiła się drugą pierśią; drzemał w rozmarzeniu, ukołyszany miłym zapachem jej ciała.

Znaleziono ich. Zawołano męża mamki, który pracował w stajni, dano mu sporą sumę pieniędzy. Pewnego ranka spakował swoje rzeczy i zabrał żonę. Chunyi zauważył jej nieobecność i oszalał z niepokoju. Potajemnie przeszukał stajnię, kuchnię, magazyny, wchodził przez okna do komór chłodniczych, pozamykanych na ciężkie kłódki, podnosił zasłony w alkowach, poklepywał poduszki, szukał w ogrodach. Nie mógł uwierzyć w jej zniknięcie, postanowił

odnaleźć ją, nawet jeśli została zamieniona w kwiat, w cień, w obłoczek pary. Prześladował go jej zapach. Węszył za nią jak rozjuszony pies. Budził się w nocy, zdrętwiały ze smutku.

Na szczęście czas mijał; obsesja zniknęła jak sen. Mój brat znalazł nowe rozrywki.

Pozwolono mu wychodzić z domu w towarzystwie służących. Krętymi drogami jechali na koniu, pędzili w dół bez zatrzymywania. Przed nimi rozciągały się łąki, aż do miejsca, gdzie niebo pochyla się i znika w swym bezmiarze. Wystarczyło unieść głowę, aby dojrzeć ufortyfikowany dom, który stał jak orzeł na szczycie skalistej góry, zazdrośnie strzegąc swojego terenu. Galopowali. Cały świat drżał; step przybliżał się do mojego brata, wpadał w oczy, nacierał na pierś. Czasami przystawali, bo nadjeżdżali jeźdźcy w dziwnych zatłuszczonych strojach. Ustępowali im z drogi, zeskakiwali z koni. Mój brat usłyszał ze zdziwieniem, że nazywają go młodym panem. Ukradkiem obserwował tych dzikusów, którzy głęboko się kłaniali.

Pewnego dnia towarzyszący mu intendent zakreślił ręką duże koło:

- Młodzieńcze - powiedział - te góry, te ziemie i całe stada bydła należą do ciebie. Ci ludzie są twoimi poddanymi.

W ślad za ruchem ręki intendenta spojrzenie mego brata wędrowało od wzgórza do wzgórza, aż zatrzymało się na stepie, gdzie wiatr wyorał szeroką bruzdę. Brat odchrząknął, chciał wypowiedzieć jakieś podniosłe zdanie. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nagle usłyszeli trzepot skrzydeł: nad nimi przelatywał żuraw.

- Biały żurawiu, leć do mnie! - krzyknął wesoło mój brat i rzucił się w pogoń za nim.

Od śmierci babki brat czuł się sierotą. Jego cierpienie stawało się nie do opanowania, gdy prowadzono go do matki. Inaczej niż babka, która uwielbiała błękit indygo, matka

ubierała się w kolorowe tkaniny, jedwabne i brokatowe. Miała czarne włosy, przygładzone olejkiem z drzewa cynamonowego. Jej kok zdobił feniks trzymający w dziobie dużą perłę. Mój brat przyglądał jej się z otwartymi ustami, niczego ani nikogo nie słysząc. Matka wzdychała, wstawiała i pozostawiała brata jego zadziwieniu. Stał w bezruchu. Jakiś przedziwny smutek ogarniał jego serce. Czasami matka była w dobrym nastroju. Kazała mu usiąść obok, pytała, co chciałby zjeść, jaka zabawka sprawi mu radość, jak idzie nauka. Ręką ciężką od pierścieni głaskała go po głowie, a mój brat, cały czerwony, wyprężył się pod jej dotykiem.

Brat pogardzał mną. Babka, która nigdy nie raczyła ze mną rozmawiać, wpoila mu samczą dumę przyszłego spadkobiercy. Jednak obserwował mnie potajemnie. Dla niego moje poranne wstawanie było ceremonią nader wstydliwą: pokojówka i dwie służące krzątały się przy moim myciu, czesaniu i ubieraniu. Późnym popołudniem, gdy wracał z męczącej przejażdżki konnej, pokryty potem i kurzem, dostrzegał mnie, osłoniętą przed słońcem i wiatrem. Wstawiałam, żeby z nim porozmawiać. Zawsze odczuwałam radość na jego widok. Ale on obrzucał mnie pogardliwym spojrzeniem tak wściekłym, że zaskoczona przystawałam pięć kroków przed nim.

Z łatwością się na nim mściłam. Chunyiego krępowały matczyne pieszczoty, ja natomiast poddawałam im się z rozkoszą. Na kolanach matki kręciłam się, gniołłam jej suknię, bawiłam się jej biżuterią, wciągałam nosem zapach perfum. Takie bezwstydne zachowanie złościło mojego brata, który czuł się zażenowany.

Pewnej nocy brata obudziły moje krzyki. Usiadł, rozsunał kotary, po czym wstał z łóżka. Niania, która zwykle spała w jego pokoju, zniknęła wraz ze służącymi. Zaciekawiony otworzył drzwi i wyszedł na podwórko. Ciemne postaci

odcinały się na tle okna przeciwległego mieszkania, skąd dochodziły moje szlochy i jęki.

Podszedł do okna, poślinił palec, zrobił nim dziurę w ryżowym papierze i przystawił oko. To, co ujrzał, napełniło go przerażeniem. Zobaczył mnie siedzącą na łóżku. Pokojówka trzymała moją podciągniętą sukienkę. Guwernantka, niegdyś piastunka matki, siedziała na taborecie obok łóżka; miała podkasane rękawy. Owijała moją stopę opaską. Przy każdym kolejnym ruchu ściągała, żeby mocniej docisnąć. Podniosłą ciszę rozdzierały moje krzyki. W półmroku mój brat rozpoznał niankę z nożyczkami w ręce i służące: jedna niosła wanienkę z wodą, druga koszyk. Żywe kolory ich ubrań były przyćmione ciemnością. Matka siedziała na krześle opartym o ścianę, lekko marszczyła brwi, gdy krzyczałam zbyt głośno.

Kiedy bandażowanie było skończone, guwernantka zaszyła opaskę lśniącą igłą. Matka podała jej następną rolkę i zaczęło się owijanie mojej drugiej stopy. Odczuwałam palący ból w kostkach palców, płakałam, wrywałam się. Niania przytrzymywała mnie rękami. Co pewien czas pokojówka zmoczonym ręcznikiem ścierała mi z twarzy łzy i pot. Zamiast przybiec mi na pomoc, mój brat dygotał, stojąc z drugiej strony okna. Wiatr świszczwał w ogrodzie, szeleściły liście. Jakiś ptak wydał chrapliwy krzyk i wzleciał w powietrze. Ogarnięty nieokreślonym lękiem, mój brat uciekł do pokoju i schował się pod pierzyną.

Tej nocy bardzo źle spałam. Ustały łzy, ale ciągle jęczałam. Ból rozchodził się, stopy swędziały. Następnego dnia siłą postawiono mnie na nogi. Nie słuchano moich błagań, musiałam chodzić ze skrępowanymi stopami. Niezwykły spokój panował w ogrodzie. Powiedziano mi, że brat ma gorączkę.

Leżał w łóżku przez dziesięć dni.

Gdy mieliśmy po sześć lat, brat i ja, wykazywaliśmy już zupełnie przeciwstawne cechy charakteru. Chunyi był gwałtowny, impulsywny, a ja potrafiłam zapanować nad porywami, poskramiać reakcje, odgadywać oczekiwania. Brat chciał dominować, a ja wolałam się podobać. Twarz Chunyiego była jak chaotyczny świat, w którym natura jeszcze nie przybrała ostatecznego kształtu. Wiatr, mgła, gęste chmury wirowały pomiędzy niebem a ziemią. Miał zbyt wydatny nos, za bardzo mięsiste policzki, za grube powieki - przez co oczy były dwiema wąskimi szparkami - by być podobnym do ojca. Mówiono, że moja twarz przypomina najpiękniejsze rysy naszych przodków, wyniosłe, doskonałe. Nawet ojciec, surowy i ponury, patrząc na mnie, odczuwał chwilami wzruszenie. Wzdychał i wyrażał żal, że nie jestem chłopcem.

Nasz dom niegdyś był schronieniem, twierdzą, królestwem wygnańców. Przez wieki rodzina starała się odtworzyć dawny przepych i finezję tego miejsca. Ale w krainie, gdzie przyroda miesza wielkość z twardością, gust moich przodków zmieniał się. Żyli w oddaleniu od stolicy, skąd rzadko docierały nowiny, świetność przeszłości znali jedynie z portretów pradziadów i opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, dlatego też dom stał się wspaniałą demonstracją sprzeczności.

Nasze mury były bardzo grube. Pokrywająca je czerwona farba, palona słońcem w lecie, w zimie smagana północnym wiatrem, miejscami odpadała, odkrywając czarny kamień, po którym pełzały mchy. Nasze drzwi zdobione ćwiekami z brązu były zbyt ciężkie dla futryn powykrzywianych przez niepogodę. Kamienne płyty, grubo ciosane, koloru brunatnożółtego i szarego, zastępowały bruk. Nasze drzewa nie były otaczane czułością: sosny, cyprysy, modrzewie miały gałęzie powykręcane przez wiatr, pnie popękane od piorunów,

ostre kłujące igły wyostrzone deszczem. Jednemu z przodków udało się wyhodować wierzby płaczące. Pół wieku później były spróchniałe, porażone piorunami, wlokły po ziemi swoje wymęczenie. Ale kiedy zrywał się wiatr zaczynały tańczyć, unoszone przypiływem entuzjazmu.

Rhododendrony, z gatunku tych najdzikszych, okrywały się, niestety, jedynie bladymi maleńkimi kwiatkami. Róże pięły się po murach. Ich płatki były bezbarwne, zapach niewyczuwalny. Dlatego nasza rodzina tak bardzo lubiła piwonie, które doskonale przyjmowały się w górach, nie tracąc koloru ani szlachetności. Nowe gatunki wyhodowane przez moich dziadów nosiły imiona cesarzowych z dynastii Ming. Nie starały się nas oczarować, jednak przytłaczały nasze życie swym nagłym, piorunującym wręcz kwitnieniem.

Łupkowe dachówki pokrywały nasze odmalowane pawilony. Rzeźbione okna, drzwi w kształcie półksiężyców rozweselały nasze spojrzenia. Długie kryte galerie wiły się po ogrodzie, łącząc ze sobą poszczególne mieszkania: chroniły nas przed słońcem, przed deszczem i śniegiem. Dwieście pokoi tworzyło labirynt. Żeby poruszać się po nim, wystarczyło otworzyć drzwi, unieść zasłonę, przejść za rzeźbione przepierzenie, okrążyć marmurową ścianę albo parawan powleczoney laka, inkrustowany masą perłową.

Mój brat uwielbiał przypatrywać się temu rozległemu, dość mrocznemu domostwu. Jakieś pęknięcie, jaszczurka, pajęczyna, brzydkie miejsce zadziwiały i budziły jego wyobraźnię. Interesowały go liczne niezamieszkałe pokoje, zapomniane zakamarki, pogrążone w mroku, pokryte kurzem.

Nasze niebo jest turkusowe, a słońce koralowe. Piękna góraska pogoda ustępuje miejsca burzy. Mój brat bał się pomruków ziemi, uderzeń piorunów, ale lubił te wyjątkowe chwile przed burzą, gdy niebo jest sinobiałe, a zwały mgieł tłoczą się w dolinie. Wyżej, na szczycie gór, zielonkawy blask

rozjaśnia dachy i pełźnie przez ogród, rozpraszając cienie. Jakiś nieokreślony niepokój spływa z wierzchołków drzew, ogarnia służących ubranych w jedwabie, przegania owady z kwiatowych pączków, w których się ukryły.

Mój brat nienawidził dni świątecznych, gdy dom budził się ze swej zwykłej apatii. Przygotowania trwały wiele dni, w zależności od wagi ceremonii. Sprzątano pokoje, w salonach wieszano lampiony, nakrywano stoły. Głosy nuciły, suknie wirowały, wybuchał perlisty śmiech, który rozlegał się w kolejnych pokojach, a potem i w ogrodzie. Srebro, klejnoty i tkaniny zaczynały połyskiwać; zawieszano na ścianach obrazy i kaligrafie mistrzów. Mój brat przechadzał się, usztywniony w nowym kaftanie, bez radości w sercu. Wkradał się do kuchni, gdzie obierano jarzyny, sprawiano króliki, zarzynano kury, patroszono bażanty i niekiedy zabijano świnię. Pienista krew robiła na nim silne wrażenie. Widząc jego bladość, kucharze z rękami zanurzonymi w zwierzęcych wnętrznościach żartowali. Brat drżał. Chciał odwrócić wzrok, ale powstrzymywała go jakaś dziwna fascynacja. W takim lekkim zamroczeniu wprowadzany był do gości, lokalnych dostojników, brzuchatych nudziarzy obwieszonych klejnotami. Pod okiem ojca musiał nawiązywać konwersację. Pytano go, jak idzie nauka, różne głosy skrzeczące, rozprawały o historii, poezji, podróżach, ważnych wydarzeniach. Czuł, że między nim a tymi ludźmi jest ogromny dystans, wołał rozpamiętywać krwawe patroszenia, znieruchomiałe oczy i różowe skóry, które nagle stawały się krwistoczerwone.

Mój brat mną pogardzał, za całe towarzystwo miałam jedynie smutne służące, wiodłam raczej samotne życie. Wielką przyjemność sprawiało mi spacerowanie po pokojach z uniesioną głową. W każdym pokoju belki sufitowe były

pokryte freskami. Próbowałam rozpoznać na nich legendarne postaci, bohaterów historycznych, baśniowe zwierzęta.

Chodziłam marzyć pod drzewo. Czasami, całkiem znieenacka, gromadziły się na niebie oślepiająco białe chmury, tworzące górę. Promienie słońca, fioletowe, szare i niebieskie, otaczały ją, drążyły w niej doliny, ciosały ściany, wycinały wierzchołki. Co jest w chmurach? Legenda mówi, że niosą na sobie niebiańskie królestwo, w którym nieśmiertelni, panowie pałaców, wiodą życie w beztrosce i przyjemnościach.

Z niecierpliwością oczekiwałam świąt, czas, który wolno płynął, był dla mnie męką. Pachnące kadzidła, sztuczne ognie, barwne lampiony, wykwintne potrawy, stroje zdobione haftami, nudne ceremonie odkrywały przede mną istnienie niewidzialnych duchów.

Dlaczego zmieniają się pory roku? Nowy Rok sprowadza chłód, śnieg. Na święto Yuang Xiao wieje zimny północny wiatr, drżą lampiony, rzucając słabe światło na lodowe stalaktyty. Na Qingming pada śnieg, pociemniały od słońca. Słychać tajemnicze pluski, krople wody, które skapują z drzew i bębnią po dachu. Na Duanwujie, piątego dnia piątego miesiąca księżycowego, pieczemy ciastka z kleistego ryżu, zawijanego w liście bambusa, a potem nawijamy na ręce kolorowe sznureczki, żeby odpędzić demony, roznosiciele chorób. Nazajutrz po święcie w góry przybywa wiosna. Powracające z dalekich krajów białe żurawie przelatują na tle nieba, łopocząc skrzydłami. Dlaczego dzień się wydłuża? Dlaczego powietrze gęstnieje? Drzewa oddychają, falują, przeciągają się i sięgają ku niebu; pszczoły o barwnych brzuskach szybko poruszają wykrojonymi w srebrze skrzydełkami. Kto daje im radość wytwarzania miodu? Motyl wspina się na stromą górę i lata pod drzewami. Jaka boska ręka naszkicowała jego powab? Lato mija, święto księżycy wprowadza jesień. Gwiazda, gładka i krągła, oświetla las,

który już zaczyna gubić liście. Widać czerwień na drzewach, w krzewach żółć, kiście winogron pod ogrodowymi altanami z gęstych liści. Ufortyfikowany dom pochyla dachy, na których siedzą dzikie bestie z granitu. Wy, moi przyjaciele, którzy czuwacie nad naszymi spokojnymi nocami, czy widzieliście, jak przelatują bogowie gór? Jesień odchodzi dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca księżycowego, na święto Chong Yang. Wtedy sprowadzamy donice z chryzantemami, a wilgotna woń delikatnego powietrza zapowiada śnieg. Zimo, dokąd odeszłaś? Skąd przyjdiesz?

W dni świąteczne siadałam przy stole dla kobiet, ustawionym w pomieszczeniach wewnętrznych. Gości oglądałam jedynie na przedstawieniach. Przodkowie zbudowali w ogrodzie - to tradycja zamożnych rodzin - pawilon przeznaczony na spektakle operowe. Staw oddzielał kobiety od mężczyzn, a wiatr przywiewał rozmowy współbiesiadników znad drugiego brzegu. Rozprawiano o dalekich, tajemniczych miastach, o dziwacznych zwyczajach.

A także o duchach, zjawach, białych ludziach z kolorowymi oczami.

Często powracało słowo Pekin. To miasto o tysiącach wspaniałości. Gdzież jest ten Pekin? Jak można tam dotrzeć?

Ile tam jest domów? Kotów? Dziewczynek takich jak ja? Jaki kolor ma bruk? Czy są ptaki, które chichoczą na drzewach? A marmurowe lwy przed wejściem, które drwią z przechodniów?

Miałam starą nianię, która czesała moje długie włosy. Urodziła się w bardzo dalekiej prowincji, została sierotą, zachowała wspomnienie zazielenionej ziemi, nawodnionej rzekami pełnymi ryb. Straciła męża i dziecko podczas epidemii cholery, wyjechała ze swojego regionu, przyjęła pracę pokojówki w domu mandaryna. Pojechała w ślad za swoją panią, gdy pan zmienił miejsce pracy. Z powozu

zaprężonego w muły, siedząc między pakami i kuframi, oglądała świat przez lekko rozsunięte zasłony. Przyzwyczała się do mglistego klimatu, do krzykliwej wymowy, ciemnych wilgotnych ulic, rojących się od handlarzy. Czas upływał, a ona przechodziła z domu do domu, opuszczała miasto po mieście. Jej życie było drogą do zimna, ciszy, do trudnej ziemi, coraz bardziej jałowej.

Doświadczyła przeróżnych sytuacji życiowych, zaspokajała więc w pełni moją ciekawość. Rano, po wstaniu z łóżka, objaśniała moje sny; wieczorem, przed pójściem spać, snuła opowieści o zjawach, bo chciała, żebym nieruchomo siedziała przed lustrem. Ręce, które mnie czesały, były duże i mocne, ruchy powolne i pewne. Niekiedy miałam wrażenie, że moja dusza, rozciągnięta, wyszczotkowana, odłączy się od karku i zsunie po włosach. Krzyczałam. Ale stara Li, ubrana w bonżurkę koloru indygo, z siwymi włosami zebranymi w kok, niewzruszona, chuda i wysuszona, mówiła dalej:

- Nasze istnienie jest tylko krótkim odcinkiem drogi. Dużo przeżyliśmy. Ale musimy przeżyć jeszcze następne życia.

Nie pozostawiając mi czasu na zadanie choć jednego pytania, ciągnęła:

- Pod ziemią rozciąga się królestwo, do którego nie dociera słońce. Są tam domy, ulice, miasta, tak jak na ziemi. Przez cały czas panuje noc, a na ciemnym niebie widać błądy księżyc. Nazywamy ten kraj Królestwem Ciemności, bo jest przeznaczony dla dusz zmarłych.

- Dusze zmarłych, co to takiego? - wykrzyknęłam z przerażeniem któregoś ranka.

- To wszyscy ci, którzy żyli, ale już nie żyją na ziemi. Świat dzieli się na trzy kręgi. Pierwszy dla żywych, drugi dla dusz zmarłych, trzeci dla istot niebiańskich. Bogowie czuwają nad wszystkim, demony i lisy poruszają się swobodnie po tych

trzech światach, w których są trochę zabłąkane, w służbie dobra lub zła. Tutaj, na ziemi, jest Pekin, Zakazane Miasto, gdzie ludzie kłaniają się cesarzowi. Tam, w Królestwie Ciemności, wszyscy są posłuszni swemu królowi, a jego dom nazywają Piekłem. A dalej, ponad nami, króluje niebiańska cesarzowa, wszechmocna.

- Ale czy ciemności go nie męczą? Nie boi się? Co robi za dnia ten król Ciemności?

- Patrzy w księgę, w której zapisana jest nasza data urodzenia i dzień naszej śmierci. W dzień wróżebny zwołuje demony i wysyła je na ziemię. Odnajdują skazańca, gdziekolwiek by się schował. Biorą go na łańcuch i ciągną do Piekła. Król go sędzi. Niewinni zostają uwolnieni, błąkają się po ciemnych i smutnych ulicach. Żli są ukarani za swoje winy, kara ich oczyszcza. Kiedy nadchodzi dzień odrodzenia, demony na nowo nas zniewalają. Jesteśmy doprowadzeni do bram Piekła, gdzie stoi ogromne koło. Demony wpychają nas tam z całych sił. Przewracamy się, porwani przez nieustanny ruch koła. Budzimy się w nowym życiu, żeby wypełnić nowy los: psa, kota, mężczyzny, kobiety, biednego, bogatego, króla lub żebraka. Wszystko zależy od zasług w naszym poprzednim życiu.

Z szeroko otwartymi oczami, rozdziawionymi ustami, przytłoczona tajemnicą, jaka została mi wyjawiona, trwałam w milczeniu. Wobec mojego osłupienia niania Li odczuwała ukrytą radość, więc nie przepuszczała okazji popisania się swoją wiedzą:

- Dlaczego z niektórymi osobami mamy szczególną więź? Dlaczego niektórzy są przyczyną naszego cierpienia, a inni czynią nas szczęśliwymi? Dlaczego przybywają do naszego świata, żeby zaraz potem nas opuścić, pozostawiając nas w smutku i rozpacz? Dlaczego urodzili się, żeby być naszymi rodzicami, naszymi braćmi i siostrami, psami, kotami czy

mrówką, którą przypadkiem rozgniatamy obcasem? Dlaczego jesteśmy zdradzani, niszczeni, kochani i poświęceni? To właśnie sedno karmy! Przez ciągle odnawiane istnienia dusze poszukują szczęśliwego końca swych przeszłych egzystencji.

Policzki starej Li nabrały kolorów, jej oczy błyszczały. Przez całe swoje długie życie wznosiła modły do bogów, zasięgała rad czarownic, wywoływała duchy zmarłych, żeby uwolnić się od tego łańcucha.

Nieśmiało spytałam, czy następnym razem mogłabym być ptakiem. Uśmiechnęła się i nie odpowiedziała.

- Motylem, ważką! - krzyknęłam.

Zachwycała mnie myśl, że mogłabym mieć skrzydła i swobodnie latać pod niebem.

Nagle moja radość przemieniła się w strach. Gdybym była motylem, gdzie byłaby moja matka?, spytałam Li. Czy byłaby matką motylem? Czy to możliwe? Może w tamtym życiu była księżniczką, ptakiem, drzewem? Nie знаła mnie i nie kochała. A ojciec? A mój brat? A moi przodkowie, kim oni byli? Dlaczego trzeba ich czcić? Przecież wszelkie więzi są przelotne.

- Modlić się, moje dziecko, i przyjmować los, jaki jest nam pisany.

Ale ja już jej nie słuchałam. Oczami wyobraźni patrzyłam na nasz pawilon operowy, gdzie niektórzy śpiewacy robili makijaż, inni już byli na scenie, a jeszcze inni, siedząc na ziemi, oczekiwali na swoją kolej. Poczulałam się bardzo samotna.

Kim jestem?

Wstałam z krzesła i pozwoliłam się ubierać, kiedy zauważyłam brata, który mnie podglądał przez okno. Chciał uciekać, ale go zatrzymałam.

- Chunyi, wszystko słyszałeś! Byłam motylem i latałam! Zachichotał i zniknął za drzewem.

Zezłościła mnie taka obojętność, przysięgam sobie, że będę go prześladować aż do przyszłego życia, a wtedy zostanę jego oprawcą.

Poszłam do mieszkania matki, żeby zjeść poranną porcję ryżu. To był okres, gdy kości moich palców u nóg były złamane, owinięte nogi zaczynały sinieć, krwawić, gnić. Ale musiałam chodzić. Ostry ból doprowadzał mnie do płaczu.

Tego ranka matka wydawała się zatroskana. Zobaczyła, że idę ku niej, utykając, westchnęła i wzięła mnie w ramiona.

- Biedna dziewczynka - rzekła. - Kiedy miałam ściśnięte stopy, matka tarła kamykami moje palce, żeby kości szybciej się połamały. Nie mamy wyboru. Bez ładnie uformowanych stóp nie wyjdiesz dobrze za męża.

Matka pachniała piżmem. Jej ciepłe słowa były cudownym balsamem, który łagodził moje cierpienie.

Kiedy zjedliśmy poranny ryż, matka kazała sprzątnąć ze stołu. Ustawiono przed nią tusz, papier, księgi rachunkowe, drewniane liczydło i zapowiedziano przybycie intendentów, rachmistrzów i guwernantek, którzy czekali na audiencję.

Od czasu gdy miałam skrępowane stopy, matka, aby mnie pocieszyć, trzymała mnie przy sobie w czasie załatwiania spraw rodziny. Siedziałam na krześle i rysowałam pędzelkiem. Lubiłam te miłe chwile, gdy panowała cisza poranka. Matka po swym ojcu odziedziczyła talent do prowadzenia interesów. Umiała prowadzić rachunkowość. Obliczała, kalkulowała, wydawała polecenia łagodnie, ale stanowczo. Używała prostych słów, żeby mieć posłuch u służby. Ci, którzy popełniali błędy, byli poddawani drobiazgowym przesłuchaniom i musieli wytłumaczyć się w najdrobniejszych szczegółach. Ci, którzy kłamali, natychmiast bledli, bo przeszywający wzrok matki czytał w ich myślach.

Tego ranka po wyjściu intendenta chciałam kazać matce przysiąc, że będzie nią także w przyszłym życiu, ale nagle

wszedł ojciec. Na jego widok zamilkłam. Złożyłam ukłon i wyniknęłam się do sąsiedniego pokoju.

Zaraz potem usłyszałam, jak ojciec coś mruczy. Narzekał na upał, na oślepiające go światło, na przeszywający wiatr, na nieposłuszną służbę.

- Powinieneś mniej palić - odpowiedziała moja matka spokojnym głosem. - To osłabia zdrowie.

Ojciec wybuchnął wymuszonym śmiechem.

- Głupstwa! - rzekł. - Głupstwa!

- W ostatnim czasie bardzo zmizerniałeś - nalegała matka.

- Słyszałam, że w Guang Dong przed kilkoma laty zamknięto palarnie i skonfiskowano zapasy opium, niszcząc je publicznie. Szkodliwy wpływ opium jest ogólnie znany.

Usłyszałam, że ojciec podnosi głos:

- Zamilcz, zamilcz, głupia kobieto, nie wtrącaj się do moich spraw.

Ojciec urwał, ściszył głos, żeby powstrzymać złość:

- Życie jest powolną rzeką, w której wszystko płynie, nic nie stoi w miejscu. Wszystko ucieka, ulatnia się, znika. Możemy stać się bogiem na tym padole, jeśli postępujemy zgodnie z biegiem świata, do niczego się nie przywiązujemy i nie obawiamy się śmierci. Opium niesie w sobie mądrość. Pozwala nam przebyć ulotne chwile i wtopić się w wieczność.

Moja matka przez dłuższą chwilę milczała, po czym rzekła:

- Moim skromnym zdaniem, wieczność przenika nas, jeśli czcimy przodków i uczymy nasze potomstwo pokory, szacunku, oddania.

Nagle rozpadło się porcelanowe naczynie. Ojciec krzyknął:

- Potomstwo? Niestety, mam syna niegodnego i niezdolnego. Ciągle nie rozumiesz, że chwała rodziny dobiega końca. Nic nie przetrwa, nic nie trwało. Dzisiaj został mi tylko

ufortyfikowany dom, jutro to będzie kupa rozwalonych kamieni. Niedorzeczność, bezsens...

Wyszedł. Słyszałam jeszcze tylko kilkakrotne echo słowa „bezsens”.

Od pierwszego zaciągnięcia się opium palacz popada w otchłań, w której gorąco i ciemność służą mu za całun. A potem, nagle, lekkość, cisza... nieskończoność. Umysł, oderwany od ciała, unosi się tam, gdzie schodzą się teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Na swoim łóżku do palenia opium mój ojciec drzemał, oddawał się marzeniom, oglądał życie tak, jak się ogląda obraz, i kontemlował jego najbardziej jałowe piękno. Rozmyślał o pustce naszego świata.

Kiedy mijało działanie narkotyku, pod koniec podróży do krainy bogów, mój ojciec powracał do rzeczywistości. Otwierał oczy. Palarnia, oświetlona nikłym światłem, podobna była do szeroko otwartej paszczy potwora. Ojciec wstawał i wołał służbę, która nie przychodziła. Robił kilka kroków, otwierał drzwi. Słońce wylewało na niego natrętne troski ziemskiego życia.

Wkrótce po narodzinach mojego ojca dziadek opuścił zamek i zniknął. Jedni opowiadali, że przeszedł na religię katolicką, inni mówili, że został jednym z przywódców bokserów i obcinał głowy cudzoziemskim diabłom.

Jako dziecko wątłego zdrowia mój ojciec był chowany wśród kobiet. Marzył o zostaniu generałem. Ale mój dziadek, którego uwielbiał, nie wracał, żeby zabrać go w wielki świat. Zropaczony chłopiec zachorował. Położono go do łóżka pod kilkoma jedwabnymi kołderkami. Pokój był ogrzewany przez cały rok, sprowadzano lekarzy, którzy przepisywali mu niezliczone lekarstwa. Nie pomagały jaskółcze gniazda, mleczko pszczele, żeń - szeń - chłopiec był coraz słabszy. Kaszlał, wymiotował, cierpiał na bóle głowy; stał się nieprzyjemny dla otoczenia, źle traktował służbę. Sława,

walka, podróże, stolica, wszystko się ulatniało za haftowanymi zasłonami. Kiedy była ładna pogoda, wyprowadzano go czasem z jego ciemnego pokoju. Niesiono go wraz z łóżkiem i wystawiano do ogrodu. Leżąc z kołdrą naciągniętą aż pod brodę, patrzył w niebo. Przelatywały ptaki, ulatywała z łopotem jego młodość.

Tego dnia, gdy tylko ojciec wyszedł z palarni, przypomniał sobie o potomku, który nienawidzi nauki i nie chce czcić przodków. Kierowany wściekłością, udał się do pawilonu Antycznego Zapachu.

W tym czasie kazano mi się uczyć dla dotrzymania towarzystwa bratu. Moja pokojówka, służący brata, Chunyi i ja tworzyliśmy klasę, która zbierała się w każde popołudnie w owym prostokątnym pawilonie, wzniesionym przez zapomnianego pradziada. Gołe ściany, proste i wysłużone meble miały służyć lepszemu skupieniu. Cyprysy o sękatych gałęziach uspokajały nas swym cieniem.

Mój brat nienawidził bezruchu, a tym samym nauki. Drżący głos starego preceptora usypiał go. Czasem przez pokój przelatywała mucha, która budziła w nim marzenia. Pewnego razu ojciec dostrzegł przez okno, jak brat wrywa kartkę z książki rozłożonej na stole, robi kulki, które moczy śliną i rzuca w kark swojego służącego.

Ojciec otworzył drzwi, wszyscy wstali na powitanie. Dał znak, żebyśmy usiedli, z wyjątkiem mojego brata, któremu kazał uklęknąć. Przypatrywali się sobie wzajemnie.

- Wyrecytuj Czcigodnego przodka - rozkazująco powiedział ojciec do Chunyi.

Och czcigodny przodku! Wieczne są twe dobrodziejstwa! Porozdzielaj twe nieograniczone łaski, Aby do nas wszystkich tutaj dotarły!

Napełniłem puchary szlachetnym likierem: Spraw, by urzeczywistniły się moje pragnienia, To wszystko... proszę...

Twarz Chunyiego pokryła się rumieńcem. Usiłował przypomnieć sobie strofy, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Ciężkie krople potu spływały po jego policzkach. Wytarł je wierzchem brudnej dłoni, która zostawiła czarne ślady. Klęczał z opuszczoną głową, pochylonymi plecami, wzrokiem wbitym w podłogę.

Nagle dostrzegłam ironiczny uśmieszek na jego ustach.

W popłochu rzuciłam błagalne spojrzenie w kierunku ojca i zobaczyłam, że on także uśmiecha się z ironią.

Kazał przynieść bat.

Zatopiłam się w książce. Daremnie usiłowałam odczytywać słowa. Trzask bata i zawzięte milczenie Chunyiego wciskały mi się w uszy. Drżałam, mimo woli liczyłam uderzenia, błagałam wszystkich bogów niebios o skrócenie tych tortur.

Trzaskanie bicia ustało, usłyszałam głos ojca:

- Chunning, może ty potrafisz wyrecytować Czcigodnego przodka.

Chciałam udać, że nie umiem, przez solidarność z bratem, leżącym teraz na podłodze. Jednak zabrakło mi odwagi, żeby skłamać. Wyrecytowałam wiersz w całości i bez jednego błędu.

Wieczorem brat zaskoczył mnie pod altanką z glicynii. Długo szedł za mną w ciemności, potem czekał, aż zostanę sama. Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się, jak człowiek, który ogląda swe odbicie, swój cień albo pijawkę. Nagle chwycił mnie za ramię i zaczął mnie lżyć, nazywając zdrajczynią, tchórzem, głupią dziewczuchą. Mówił też o zemście. Powiedział, że po odejściu rodziców to on będzie miał do mnie wszelkie prawa i będzie mnie dręczył. Tupał, pryskał śliną przy mówieniu, wymachiwał pięściami. Nieświadomie naśladował gesty ojca. Przewyższał mnie o głowę. Odczuwałam strach i litość. Noc była spokojna,

usiłowałam policzyć pęki glicynii wiszące w półmroku. Jego obelgi raniły mnie. Mogłam krzyczeć, wołać, podrapać mu twarz, a potem uciec i wszystko opowiedzieć ojcu, ale nauczono mnie szacunku, a nie obrony. Byłam jeszcze mała i nie wiedziałam, że mam prawo odpowiadać obelgami na obelgi. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mogę się buntować, więc Chunyi wykorzystywał swoje starszeństwo i niszczył mnie.

Takie sceny powtarzały się, bo mój brat nie robił żadnych postępów, podczas gdy ja rozkwitałam; czasami miałam wyrzuty sumienia, że jestem lepsza niż on. Ojciec zniechęcił się do edukacji syna. Resztkę czułości i uczuć przelał na mnie. Wzywał mnie do siebie, prosił, żebym recytowała wiersze, słuchał z zamkniętymi oczami i uśmiechem na ustach. Potem mnie nagradzał jakimś życzliwym zdaniem, pieśczętą, prezentem. Jego seanse medytacji w palarni przedłużały się. Nie przychodził już na lekcje kontrolować pilności Chunyiego. Zależnie od humoru wymierzał chłopcu surową karę, ten zaś mścił się na mnie za swoją udrękę. Moje jęki i szlochy przynosiły mu ukojenie. Nie skarżyłam na niego, to była moja tajemnica. Porywczosć ojca wywoływała we mnie odrazę, zemsta brata jedynie ścisnęła mi serce. Byliśmy sobie bliscy, Chunyi i ja, mimo że mną pogardzał i trzymał mnie na dystans. Ojciec był kimś obcym w tym naszym świecie, my przecież dzieliliśmy życie przed życiem.

Ojciec słyszał, że cytra może oswoić dzikusów, złagodzić charaktery, a bezbożników uczynić wierzącymi i zacnymi. Z prowincji Syczuan sprowadził najlepszego mistrza gry na cytrze, pragnął bowiem sprowadzić Chunyiego na dobrą drogę. Starzec nie przyjmował uczniów nieczystej płci, ale ubłagałam matkę, aby wstawiła się za mną. Staraliśmy się ujarzmić instrument, który odpowiadał nam zgrzytaniem. Mój brat, z początku zachwycony bardzo starą cytrą, którą mu

kupił ojciec, szybko się zniechęcił. Brakowało mu poczucia rytmu i wytrwałości, zwłaszcza że lekcje muzyki zabierały mu czas przeznaczony na próżniactwo i ściągają na niego nowe reprimendy. Miałam większe uzdolnienia literackie niż muzyczne, ale poskramiałam cytrę z dużą pilnością, bo był przy tym Chunyi, a ja musiałam go przewyższyć. Robiłam szybkie postępy, zadziwiałam mojego mistrza pamięcią i sprawnością. Wkrótce grałam całe melodie bezbłędnie, podczas gdy cytra mojego brata jąkała się, brzmiała fałszywie i nie miała duszy.

Nie odczuwałam żadnej szczególnej radości, z wyjątkiem przyjemności, jaką daje poczucie bycia lepszym. Ta muzyka wydawała mi się nieprzenikniona. Lubiłam jednak słuchać gry naszego mistrza po wielu prośbach ojca, gdy rodzinna kolacja dobiegała końca w całkowitej harmonii. Mistrz unosił głowę, żeby sprawdzić, czy noc jest odpowiednio rozjaśniona przez księżyc, a ogród skąpany w przejrzystym powietrzu. Prosił o miskę zimnej wody do umycia rąk. Wino rozgrzewało mu duszę i uwalniało od wszelkiego ciężenia, wszelkiej sztywności. Siadał pod wysoką pinią, gdzie przedtem jego służący ustawiał stolik i cytrę z epoki Tang. Szczypał struny. Dźwięk był słaby, ale wyraźny, jak szept do ucha. Nuty spływały niby strumyk, który obmywa drzewa, głaszcze skały i przemienia się w kaskadę. Wiatr owiewający nasz ogród wprawiał w drżenie kwiaty. Melodia cytry ulatywała ponad drzewa i łagodziła szum gałęzi. Mój brat zasypiał z otwartymi ustami. Gdy tylko rozlegała się muzyka, ogarniał go jakiś tajemniczy sen. Ojciec medytował z przymkniętymi oczami. Dźwięki cytry otwierały niewidzialne drzwi, zaczynałam wychwytywać najmniejsze odgłosy nocy: cichutkie bzyczenie owada, szelest liści, łopot skrzydeł. Spływała na mnie niezmiernoność: trawy na stepach falowały, rżał koń, pluskały fale, ryby pod wodą uciekały. Powoli te odgłosy znikwały jak

rozpraszająca się mgła. Tylko melodia cytry trwała dalej, coraz cichsza, a słuchający jej umysł popadał w nieogarnioną ciszę. Muzyka stawała się prawie niesłyszalna, była już tylko duchem, który prowadzi nas do Królestwa Ciemności. Nagle zamieniała się w białego żurawia, rozkładała skrzydła i wzlatywała ku ciemnemu niebu, stając się prawie niedostrzegalną plamą.

W wieku dwunastu lat mój brat jeździł na dużym białym koniu, dźwigającym na grzbiecie skórzany kołczan ozdobiony złotymi deseniami. Gdy Chunyi miał na sobie strój jeźdźca, zdawało się, że jego ramiona podtrzymują niebo. Ogolona głowa sięgała obłoków. Zakryty sokół siedział wczepiony w jego prawe ramię, oplecione wąskim paskiem. Gwałtownym ruchem mój brat kierował konia ku bocznym drzwiom, otwartym przez stajennego. Jak strzała zagłębiał się w świecie, który był dla mnie niedostępny. Wracał już po zmierzchu, o tej porze, gdy ojciec zamykał się w palami, aby z niej wyjść dopiero nad ranem. Mój brat szedł galerią, robiąc okropny hałas. Łatwo było poznać, że to on, po aroganckim odgłosie kroków. Jego ubranie było podarte, oblepione liśćmi i grudami zaschniętego błota. Cuchnął potem, dymem. Ale w jego oczach kryła się duma z tego, że oglądał nieznany dotąd świat.

Wyżyna prześladowała go swymi rozmiarami, jej mieszkańcy urzekali twardością swej natury. Jeździł na polowania ze służącymi, ale także z mongolskimi i tybetańskimi chłopcami. Wolał ich od dzieci chińskich pasterzy, ze względu na ich dziki śmiech, głośny śpiew, nieposkromione spojrzenia. Nauczyli go polowań z sokołem, wspinaczki, walki wręcz.

Mury rodzinnego domu stanowiły granicę. Po ich przekroczeniu charakter mojego brata się zmieniał. Znikała wesołość. Nienawiść i wyniosłość przepelniały mu serce, a tym samym odpędzały beztroskę. Ojcowska tyrania przerażała

go i fascynowała. Źle mnie traktował, w czym naśladował ojca. Jego zazdrość doszła do zenitu. Czuł się z czegoś ograbiony, skazany na granie roli cienia, który ma wzmocnić moje światło. Obawiał się, że pozostanie zgasłą gwiazdą.

Przestudiowałam wszystkie ważne książki, przeczytałam setki wierszy. Potrafiłam rozpoznawać drzewa, baśnie przedstawione na plafonach, wszystkie rzeźby potworów, stojące na dachach albo wyryte w murach. A wiosny i jesień kolejno następowały po sobie, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć za jaką przyczyną.

Pory roku odchodziły i powracały, kwiaty przekwitały i na nowo zakwitały, a ja jeszcze nie spotkałam pokrewnej duszy, zjawy, przyjaciółki. Na trzynaste urodziny rozchorowałam się.

To były tylko ataki duszności. Nie mogłam jednak spać ani jeść. Stałam się nadpobudliwa. Wzywano do mnie wielu lekarzy, ale żaden lek nie pomagał. Była zima, długa i spokojna. Spędzałam dni przy oknie, w rękę trzymając ciepły kociołek w gronostajowej mufce. Padał śnieg, grube płatki rysowały rozmaite cienie na ryżowym okiennym papierze.

Wiosna przyszła późno. Liliowe krokusy przebiły płaty śniegu. Ziemia była wilgotna jak czarny tusz. Pewnego dnia słońce rozbłysło całym swym blaskiem i przywróciło zieleni drzewom. Nazajutrz, po usilnych błaganiach, matka pozwoliła mi wyjść. Spacerowałam po ogrodzie, często przystawałam, żeby wziąć głębszy oddech. Powietrze było ciepłe, lekkie. Ale świat jeszcze nie rozkwitł; nie było słychać brzęczenia pszczół ani krzyku żurawi.

Ze smutkiem spojrzałam w górę. Po niebie płynęły wstęgi obłoków. Nagle płaczliwy krzyk, a po nim szelest. Białe żurawie leciały w kluczu. Przelatywały nad moją głową, majestatyczne, lekkie. Kiedy wodziłam za nimi wzrokiem, wydawało mi się, że ja także wzlatuję, ale ogrodowy mur przeciął mój horyzont i sprowadził mnie na ziemię. Ogarnięta

złością, kazałam służącej podnieść mnie w górę, po czym weszłam na stuletni cyprys. Gruba gałąź rosła w bok, przerzucając się przez szczyt muru, jak most. Kazałam milczeć służącej, która jęczała ze strachu, i wspięłam się na mur. Podkasałam spódnicę i usiadłam okrakiem.

Rozejrzałam się wokół.

Pierwszy raz ujrzałam moją okolicę. Kilkaset stóp niżej, na bezkresnym stepie, krowy, barany i jaki wędrowały jak stada obłoków pędzonych wiatrem. Na prawo i na lewo wiły się łańcuchy górskie, których wierzchołki gościły wieczne śniegi. Na horyzoncie jezioro, rozległe, lśniące między niebem a ziemią. Żurawie leciały w tamtym kierunku; krążyły tam też chmury czarnych ptaków, małych jak czarne plamki.

Miałam ochotę rzucić się, jak one, w przestrzeń, ku niebu.

Widok tak mnie poruszył, że przez resztę dnia byłam w najwyższym stopniu pobudzona. Śmiałam się, jadłam z apetytem i gorączkowo gadałam. Pod wpływem moich gróźb pokojówka przysięgła, że dochowa tajemnicy. Wieczorem, gdy już leżałam, przed oczami ukazywały mi się te cudowne widoki; usnęłam szczęśliwa jak ktoś, kto jest w posiadaniu całego królestwa.

Po ukończeniu czternastu lat Chunyi miewał czasami przyływy czułości wobec siostry bliźniaczki. Usiłował ze mną rozmawiać, opowiadać o broni, jaką się posługiwał, ale brakowało mu cierpliwości, denerwował się i odchodził w złości. Przynosił mi naręcza polnych kwiatów, bardziej błękitnych niż noc, jaśniejszych niż jutrzienka. Robił to z takim entuzjazmem, że moja powściągliwość była dla niego rozczarowaniem. Wyrzucał bukiet za mur. Wybuchałam płaczem. Ogarnięty wyrzutami sumienia wychodził, żeby przynieść mi jajko albo jakieś ładne piórko.

Pewnego razu wrócił okropnie zmoczony, szukał mnie po całym domu, trzymając w ręku miseczkę napelnioną

przejrzystą wodą. Pływała w niej przedziwna roślina, której zielone liście przypominały ptasie pióra. Była tam także przezroczyta rybka. Mój brat przyniósł mi mieszkańca tego dalekiego jeziora, które oglądałam ze szczytu muru!

Pogodziliśmy się, mój brat i ja, nie wypowiadając żadnych słów na zgodę. Myśleliśmy, że nasz świat jest podzielony na dwa. Z jednej strony matka i my, z drugiej ojciec i jego konkubiny.

Było ich trzy, mówiliśmy do nich „matko”. Pochodziły chyba z jakiegoś innego gatunku: takie małe zwierzątka o ostrych zębach, które chowały się w głębokich norach. Były strachem, fascynacją, okrucieństwem. Olśniewały nas i jednocześnie przerażały wulgarnym językiem, manierami o wiele bardziej grubiańskimi niż maniery naszej matki, ale bardziej wyrafinowanymi niż maniery pokojówek. Z ich twarzy można było wyczytać niechęć, zazdrość, rozleniwienie.

Dzieci stepu wcześniej dojrzewają. Na wiosnę, kiedy zachód słońca barwi na różowo zaśnieżone szczyty, młodzi chłopcy, nadzy pod odzieniem z kozich skór, powoli zapędzają bydło. Dziewczeta zdejmują bieliznę, która suszy się na wietrze, i krzątają się w kuchni. Chłopcy śpiewają, kiedy przechodzą obok wejścia do jurty młodej dziewczyny. Głosy mają chrypliwe, pełne pożądania rozpalającego czerwienią niebo. Niekiedy rozlega się gorący śpiew dziewczyny, która pragnie stać się kobietą. Ta pieśń, odbicie pejzażu, swą rozdzierającą melodią wyraża radość.

W takich chwilach Chunyi, który milcząc, szedł w ślad za przyjaciółmi, czuł, jak krew buzuje mu w żyłach.

Pierwsza konkubina była córką jarmarcznych aktorów. Nasz ojciec wybrał ją dla jej zręcznych palców, które grały na biewie jak palce bogini; druga pochodziła z podupadłej mieszczańskiej rodziny; trzecia, najbardziej urodziwa, przyjęta jako ostatnia, została znaleziona na targowisku przy świątyni,

gdzie, ubrana w szarą tunikę, z ogoloną głową zebrała o jałmużnę.

Gdy miała dwadzieścia lat, rozjaśniała dom piękną twarzą, humorem i zmiękczała serca opowieściami o swoim sierocym dzieciństwie. Chunyi i ja baliśmy się jej skośnych oczu, sięgających skroni, w których poruszały się dwie źrenice podobne do czarnych węgorzy. Kiedy Chunyi dorównał jej wzrostem, ta łajdaczka, która dotąd go ignorowała, zaczęła się z nim przekomarzać. Uciekał przed nią, a ona starała się go sobie zjednać. Byłam oburzona, ale nie wiedziałam, co robić. Cierpiałam w milczeniu.

Mój brat unikał jej. Wstydził się zmian, jakie w nim zachodziły. Pewnego dnia znienacka zaskrzypiał mu głos. Krakał, gdy tylko otwierał usta. Co miesiąc mierzył się przy ścianie i zaznaczał kreską. Wyższy wzrost przerażał go i wprawiał w zakłopotanie.

Pewnego dnia przeglądał się w moim lustrze i nie mógł siebie rozpoznać. Utracił rysy twarzy tłusciutkiego chłopczyka, nad wargą sypał się wąs. Policzki były teraz trochę zapadnięte, a oczy, podkreślone długimi czarnymi rzęsami, niepokoiły go.

Wieczorem śniła mu się naga kobieta. Ogarnięty jakimś dziwnym poczuciem winy, schował się za ukwieconym klombem. A młoda kobieta, która nacierała na niego, okazała się koniem. Wstał, chciał wziąć go za uzdę i wtedy z przerażeniem dostrzegł, że ten koń ma głowę trzeciej konkubiny. Uśmiechnęła się do niego, wyciągnęła szyję, żeby się o niego pocierać, a on krzyknął i się obudził.

Zrobiłam się milkliwa, więcej czytałam. Otwierałam się, grając na cytrze. Z poezji dowiedziałam się o całym symbolizmie natury, która straciła już dla mnie swoją niewinność. Księżyc oznaczał samotność, a samotność niezrozumienie; kwiaty więdły, a wraz z nimi uciekał czas;

niepogoda przedstawiała okrucieństwo świata, skierowane przeciw pięknu. Prześladowały mnie myśli o smutnym losie mądrych kobiet: księżniczka Wang Zhaojun została poświęcona przez swego cesarza, który kazał jej opuścić Chiny i poślubić króla Tatarów; dla uniknięcia zbrukania przez wrogów piękna kurtyzana Zielona Perła rzuciła się z okna swego pawilonu; poetka Zhu Shuzheng poślubiła kupca, który ją poniewierał, jej życie było skąpane we łzach; poetka Li Qingzhao dobrze wyszła za mąż, ale wojna zrujnowała ją i skazała na wygnanie. Umarła ze zmartwienia i nędzy.

Miałam bladą cerę, stopy zdeformowane, skrępowane w haftowanych pantoflach. Piersi zaokrągląły mi się i bolały. Zaczęłam miesiączkować. Za pierwszym razem były to tylko czarniawe ślady. Za drugim razem krew była czerwona, zrozumiałam wtedy jęki służących, kiedy miały period. Raz na miesiąc, przez pięć dni, przykuwał mnie do łóżka zawrót głowy, migrena, bóle brzucha, dreszcze, uderzenia gorąca.

Chunyi, zaintrygowany tą chorobą, zaczął mnie szpiegować pod pretekstem przyniesienia mi ptaszka czy ważki. Przepędzałam go ze zniecierpliwieniem. Ważki latały wokół pokoju. Ptaszek, wypuszczony przez okno, wzleciał ku górze i zniknął. Ogarnął mnie smutek, rozplakałam się.

Stara służąca umarła we śnie. Mówiono, że miała dziwny uśmiech na ustach. Inna służąca przyszła mnie uczesać. Pracowała w apartamencie matki, powiedziała mi w zaufaniu, że postanowiono wydać mnie za mąż.

Ojciec chciał wymienić mnie na władzę, pieniądze, honory, jak wszyscy ojcowie!

Zapominałam o moim smutku, kiedy wchodziłam na szczyt muru. Teraz żyłam tylko tym pejzażem. Oczy, przyzwyczajone już do niezmierności tej przestrzeni, potrafiły śledzić lot orła na tle nieba i jeźdźców pędzących po

stepie. Słuchałam szemrzącego wiatru. Marzyłam o długich rękach, którymi mogłabym ziemię i niebo przytulić do piersi.

Nadeszły wieści o upadku cesarstwa mandzurskiego. Cały dom był poruszony. Ojciec, wyrwany z narkotycznego odrętwienia, mówił coś o wyjeździe do Pekinu, żeby na miejscu sprawdzić, czy barbarzyńcy na pewno zostali wypędzeni. Być może przeprowadzimy się. Umierałam z niecierpliwości, tak bardzo chciałam poznać stolicę. Te pogłoski wstrzymywały plany co do mojego małżeństwa. Inne jeszcze wiadomości docierały do naszych uszu. Mówiono, że została proklamowana republika, z prezydentem na czele, i że od razu upadła. Jakiś wojownik wstąpił na tron i koronował się cesarzem. Mówiono też, że jego panowanie trwało tylko sto dni, a potem znowu była Republika. Płomień ogólnej nienawiści ogarnął kraj, wielcy drapieżcy zabijali się wzajemnie w dążeniu do zdobycia prezydentury. Później wiadomości stawały się coraz bardziej mętne. Jedno było pewne: wojny się zakończyły, ale nie wiadomo, kto jest zwycięzcą. W domu entuzjazm opadł, życie biegło swoim normalnym trybem.

Bardzo uroczyście obchodzono nasze szesnaste urodziny. Operetkowa trupa śpiewała przez trzy dni. Po przedstawieniu zaprosiłam do nas śpiewaczki.

Świat zewnętrzny chyba się bardzo zmienił. Ubierano się teraz zupełnie inaczej! Kobiety nosiły jedwabne tuniki ze stojącymi kołnierzami i spodnie obszyte haftem. Modna była mandzurska suknia. U największych kokietek obciskała ciało i odkrywała ramiona. Szeroko rozcięta, odsłaniała górną część nóg. W mieście nie krępowano już stóp. Mówiło się o szkole publicznej. Wiezorami w dużych hotelach urządzano bale. Grano zagraniczną muzykę. Panie ubierały się jak kobiety rasy białej: miały na sobie naszyjniki z pereł, suknie obszyte brylantami, sięgające kolan. Szyja, plecy, ramiona, odkryty

upudrowany dekolt - wirowały w tańcu, w satynowych, jedwabnych pantofelkach na wysokich obcasach. Śpiewaczki opowiadały też o statkach parowych, o kolei żelaznej, pojazdach bez koni. Słuchałam ich opowieści z szeroko otwartymi oczami. Dlaczego u nas czas stanął w miejscu?

- Byłyście już w Pekinie? - spytałam z zagadkową miną.

Dziewczęta potrząsnęły głową. To daleko, bardzo daleko, Pekin, na północy, gdzieś we mgle. Trzeba przekroczyć rzekę Błękitną, potem rzekę Żółtą.

Po urodzinach miałam zamiar uciec z domu. Nie umiałam jednak jeździć konno, nie wiedziałam, jak przekroczyć góry, które stanowiły przeszkodę na drodze dla mojej wolności. Zapłacę komuś, kto mnie poprowadzi. Ukradnę Chunyiemu ubranie, przebiorę się za chłopca. Napcham do butów skrawki tkaniny i watę, tak jak zrobił to Mulan, żeby pojechać na wojnę. Będę podróżować jak dziadek, którego nigdy nie znałam. Nauczę się jeździć konno, władać szablą. Przemierzę równinę, pustynię, przekroczę słynne góry, odwiedzę świątynie stojące na najwyższych szczytach, zobaczę rwące strumienie, strome góry, antyczne ruiny. Pojadę do Pekinu, zamieszkać w starej dzielnicy. Bez najmniejszych ambicji politycznych będę wiodła życie wyniosłej, mądrej kobiety. Od czasu do czasu ogarnie mnie tęsknota za rodzinną krainą. Wtedy odwrócę się w stronę zachodzącego słońca, w porze gdy ojciec oddaje się medytacji w palarni, a Chunyi galopuje po stepie w stronę domu. Miłość, smutek, wewnętrzne zadowolenie przepełnią moje serce. Czy to właśnie jest życie?

Trzecia konkubina prześladowała mojego brata. Kiedy kończył lekcje, dostrzegął ją w ogrodzie. Jej suknia stanowiła konkurencję dla kwiatów; wachlarz, którym poruszała, był przelatującym motylem. Widywał ją też na galerii, a tam nie mógł już uniknąć spotkania. Stała oparta o balustradę, musiał się zatrzymać. Robiła mu różne uwagi. Jaki jest brudny! I źle

ubrany! Twarz ma ogorzała jak jakiś pastuch! W kok wpinała sobie kwiaty jaśminu. Kiedy się wachlowała, opadał rękaw jej tuniki, odsłaniając cienki przegub i nagie przedramię. Chunyi rumienił się, a ona chichotała, z twarzą ukrytą za wachlarzem.

Kiedy Chunyi szedł przywitać się z matką, ku jego zaskoczeniu ona już tam była, siedziała na krześle. Rozmawiała, piła herbatę, z powagą i skromnością. Musiał złożyć przed nią ukłon, zwracając się do niej „matko”. W dni uroczystej kolacji lub wielkiego przyjęcia bywała nie do wytrzymania, schlebiała ojcu, rozśmieszała matkę, mówiła mi komplementy. Nigdy nawet nie rzuciła spojrzenia w stronę Chunyiego.

Gniewało go to, myślał o zemście. Włożyć jej martwego szczura do łóżka to zbyt dziecinne. W nocy przebrać się za ducha to nic oryginalnego. Przyszedł mu do głowy dziwaczny pomysł, który natychmiast przemienił się w obsesję: podglądać ją w kąpielu.

Obejrzałby ją całkiem naga w wannie, a nikt by o tym nie wiedział.

Hańba tej, której nagość oglądają, podwójna hańba dla trzeciej konkubiny, bo nie zdawałaby sobie sprawy z owej hańby. Być zgubioną, nic o tym nie wiedząc, czyż to nie najbardziej godne pożałowania upokorzenie, jakiego może doświadczyć kobieta? Trzecia konkubina w opinii Chunyiego będzie już tylko kobietą zhańbioną. Jej prowokacje, jej wybuchy śmiechu utracą całą swą moc.

Plan był odważny i szalony. Mój brat nigdy nie rozumował w sposób zwyczajny. Jedynie czyny najbardziej ryzykowne wydawały mu się warte zachodu.

Okazja nadarzyła się pewnego pogodnego dnia. W kuchni grzano wodę w ogromnym kotle. Mój brat, który miał oko na wszystko, dowiedział się, że to dla trzeciej konkubiny. W porze sjesty dwie silne służące przyszły po drewnianą

wanienkę, wypełnioną wodą. Chłopiec poczekał, aż wyjdą z mieszkania, i wśliznął się na czubkach palców. Służące odpoczywały u siebie. Przeszedł przez trzy pokoje, nie spotkawszy nikogo.

Upał stawał się nie do wytrzymania. W powietrzu unosił się zapach drzewa sandałowego zmieszany z piżmem.

Zastał drzwi zamknięte. Z drugiej strony dochodziło pluskanie wody. Dyskretnie uniósł jedwabną zasłonę, zastępującą portiery. Usłyszał głos trzeciej konkubiny; nakazywała pokojówce, aby ta umyła jej plecy. Już miał zrobić dziurkę w ryżowym papierze, żeby przez nią podglądać, gdy trzecia konkubina zaczęła pojękiwać z zadowolenia. Jej urywane westchnienia miło drażniły mu skórę. Stał nieruchomo, upojony, rozwścieczony, umierając z pragnienia, z gorączki, niezdolny do zrobienia najmniejszego ruchu.

Nagle piorun. Uciekł pędem. Gdy znalazł się na dworze, wdychając świeże powietrze, zrozumiał, że zaskoczył go zegar, który właśnie zaczął wybijać godzinę.

Długo błąkał się po ogrodzie. Krew pulsowała mu w skroniach, zbierały się w nim nieznane dotąd, nieokreślone pragnienia, ale burzy nie było. Chunyi myślał, że zaraz oszaleje.

Przypadkiem zatrzymał się przed drzwiami w kształcie księżycy, które wychodziły na ukwiecony dziedziniec. Domyślił się, że to mieszkanie pierwszej konkubiny i wszedł tam, żeby uciec przed swoim obłędem.

Miała tyle samo lat, co nasza matka, Chunyi właśnie za to bardzo ją lubił. Była cierpliwa, potrafiła słuchać. Czasami zwierzał jej się ze swych żalów, ze swych fantazji. Trochę utyla po przekroczeniu trzydziestki, skarżyła się na duszności, Chunyiemu było jej żal.

Właśnie się obudziła. Pasma włosów wysunęło się spod czepka i opadało na ramię. Chunyi zauważył, że jej twarz, piękniejsza niż zwykle, promieniała wdziękiem i łagodnością.

Poprosiła, żeby usiadł w salonie, przyniosła mu filiżankę herbaty. Spytała, dlaczego jest taki blady. Nie odpowiedział.

Uśmiechnęła się i nie nalegała. Pytała o naukę, o jego wyprawy na polowania, zaproponowała partię szachów. Gra była dla niego odprężeniem. Zapomniał o tym, co się wydarzyło, stał się wesoły i rozmowny. Przesuwając figury na szachownicy, opowiadał o swojej ostatniej nagonce z sokołem.

Służące wyszły. W grze rosło napięcie, przestali więc rozmawiać. Ciszę przerywał jedynie suchy dźwięk przesuwanych figur szachowych. Pierwsza konkubina oparła głowę na dłoni, Chunyi zauważył, że na środkowym palcu ma obrączkę z agatu. Jej palce odznaczały się nieskazitelną bielą. W miarę ich zginania na rękach tworzyły się dołeczki. Kołnierzyk od jedwabnej koszuli ścisnął jej szyję, co uwydatniało krągłość ramion. Nagle mojemu bratu zawrzało w głowie, położył rękę na jej szyi.

Zadrzała, chwyciła go za przegub i łagodnie zbeształa.

Zaczęli następną partię. Jednak Chunyi, oczarowany, myślał tylko o ciele, którego przed chwilą dotknął. Uczynił ten sam gest, tym razem z większą determinacją. Ciepło jej piersi przeniknęło do jego dłoni przez cienką jedwabną tkaninę.

Wstała, żeby wyjść, ale zatrzymał ją. Powiedziała przytłumionym głosem, że chyba oszalał, że ktoś może go tu zobaczyć. Drżąc, wziął ją w ramiona.

Pachniała delikatnie wanilią. Z rozkoszą wdychał ten zapach. Jej ciało pulsujące pod koszulą było szczęściem, ukojeniem. Wpijał się ustami w jej szyję przez dłuższą chwilę, ale zdołała się wyrwać, prawie omdlała.

Rano wstałam w smutnym nastroju. Nawiedził mnie zły sen. Ale jak i innych, które ostatnio zabrały mi nocę, tego także nie mogłam sobie przypomnieć. Jednak ten koszmar był przerażający. Nawet gdy wyszłam z pokoju i spacerowałam w promieniach słońca, moje serce szarpało się ze strachu. Nauczyciel był chory, miałam wolny dzień. Służąca z niechęcią podsadziła mnie na cyprys. Usiadłam okrakiem na murze, otworzyłam książkę, którą ze sobą wzięłam. Ale nie byłam w stanie skupić się na lekturze. Wiersze były nieme, a cisza przygniatała mnie.

Odsunęłam książkę i zaczęłam obserwować pejzaż.

Góry nie były jeszcze ukwiecone przez wiosnę. Oplatały jezioro, podobne do dwóch nagich ramion trzymających lustro.

Przypomniał mi się wiersz szóstego dalajlamy (Szósty dalajlama: Tsangyang Tsono Gyatso, Ocean melodyjnej pieśni (1683 - 1706).), który mój ojciec kazał przetłumaczyć z tybetańskiego:

Królu śmierci i Piekła, ty, który trzymasz lustro czynów, uwolnij mnie od tego życia i pobłogosław w przyszłym!

Natychmiast pożałowałam, że przypomniałam sobie te złowróżbne strofy. Wzięłam do rąk książkę, ale mój umysł był za bardzo wzburzony. Zeszłam z drzewa i udałam się do matki. Powiedziano mi, że nadeszła dostawa haftów i matka poszła do ojca, żeby je obejrzeć. Nie chciałam się z nim spotkać. Ale miałam nadzieję, że dostanę w końcu nową kotarę przy łóżku, na której najzwinniejsze palce w naszej prowincji miały wyhaftować dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć motyli. Ogarnęły mnie niecierpliwość i radosny nastrój. Taka cudowna kotara przepędzi w końcu moje okropne sny!

Chciałam uniknąć spotkania z ojcem, weszłam więc do jego mieszkania drzwiami dla służby. Przy przedsionku

drzemali siedzący na schodkach służący: to znaczyło, że ojciec jeszcze odbywa sjęstę. Przez salonik wśliznęłam się do pokoju kaligrafii. Żeby obejść sypialnię i dotrzeć do pokoju, w którym matka na szerokim łóżu rozkładała hafty, musiałam przejść przez bibliotekę. Rzeźbiona, pełna książek półka oddzielała od szaf część przeznaczoną do czytania. Znajdowały się tam drzwi w kształcie półksiężyca, ukryte za lekką przezroczystą zasłonką. Miałam właśnie unieść zasłonę, gdy zaskoczyło mnie czyjeś pokasływanie.

Powoli zdjęłam z półki kilka książek i wtedy ujrzałam plecy ojca.

Pisał.

Zamierzałam cichutko wyjść, gdy nagle wpadła tam rozwścieczona trzecia konkubina.

- Panie - krzyknęła. Złość zupełnie zmieniła jej twarz. - Pan jest zdradzany! Pierwsza konkubina, ta wstrętne suka, okryła pana hańbą!

Ojciec podniósł głowę.

- Parę chwil temu zatrzymałam się przed jej mieszkaniem. Chciałam wejść, żeby się z nią przywitać, a wtedy wiatr uniósł firankę i ujrzałam Chunyiego w ramionach tej podłej kreatury!

Ojciec gwałtownym ruchem odrzucił pędzelek i wyprężył się. Trzecia konkubina, przerażona, zrobiła krok do tyłu. Po chwili się opanowała.

- Ach, panie, proszę ją ukarać! - jęknęła, a łzy trysnęły z jej oczu. - Przerażony Chunyi chciał uciekać. Ale Pierwsza zatrzymywała go, całowała, szeptała sprośności... Panie, trzeba ją wychłostać, kazać ją powiesić...

Krzesło ojca wywróciło się, przerywając tę relację. Przybiegła służba, zwabiona hałasem. Ojciec kazał zawołać pierwszą konkubinę, która chwilę później przekazała, że cierpi na duszności, więc musiała się położyć do łóżka.

Ojciec zdjął ze ściany miecz dziadka, odsunął trzecią konkubinę, która udawała, że chce go powstrzymać. Rzucił się w stronę drzwi, kiedy weszła matka z haftowanym szalem w rękę. Ojciec potrafił ją, krzycząc, że nikt go nie zatrzyma. Matka, zupełnie zbita z tropu, spytała służących, o co chodzi, ale żaden nie potrafił odpowiedzieć. Ojciec właśnie wychodził, gdy moja matka rzuciła się na niego, chcąc wyrwać mu miecz. Spoliczkował ją.

- Dzisiaj - powiedział, śmiejąc się jak opętany - przetnę nieć, która łączy mnie z tym nędznym światem.

Grymas wykrzywił mu twarz:

- Nie mam już następcy, nie będzie więcej zwyrodnialców. Wreszcie uspokoję moje sumienie, kiedy opuszczę ten świat.

Matka znowu rzuciła się na ojca. Zatrzymała go, łapiąc za nogi, i krzyczała, żeby rozbrojono pana. Ojciec zagroził śmiercią każdemu, kto do niego podejdzie. Koniuszkiem miecza zranił służącego.

Wracałam tą samą drogą, którą tu przyszedłam, biegłam tak szybko, jak pozwalały mi skrępowane stopy. Najpierw poszłam do mojego pokoju, potem wpadłam do pokoju brata. Leżał na łóżku z rękami pod głową i oddawał się marzeniom ze wzrokiem wbitym w sufit baldachimu.

Zobaczył mnie i ze śmiechem spytał, dlaczego płaczę.

- Z twojego powodu, wyrodny synu. Ojciec chce cię zabić.

- Cóż takiego znowu zrobiłem? - spytał z nonszalancją. - Przecież nauczyciel jest chory. Oczywiście nie poszedłem na lekcje.

- Wszystko wie, ja też - rzekłam, śmiejąc się złośliwie. - Nie musisz nic wyjaśniać. W tej chwili wymachuje mieczem, matka próbuje go zatrzymać.

Jego twarz zmieniła koloryt. Podniósł się. Przybiegł zdyszany służący i prosił go, żeby się ukrył.

Mój brat zaczął odczuwać strach. W swoim zagubieniu pytał:

- Co mam robić, siostrzyczko? Co mam robić?

- Podstawić mu szyćę za to, co zrobiłeś. Zadrżeliśmy oboje, słysząc hałas dochodzący z ogrodu.

Rzuciłam mu dużą sakiewkę.

- To moje złote klejnoty, które dostałam w prezencie. Wyjedź, opuść ten dom.

Zmartwił się. Najwyraźniej nigdy nie pomyślał o opuszczeniu rodziny. Byłam oburzona jego tchórzostwem, nie ukrywałam mojej dla niego pogardy:

- Mężczyzna powinien opuścić swoich bliskich i wydeptać sobie własną drogę przez świat. Na co czekasz tak długo pod ojcowskim dachem? Chcesz zostać kiedyś palaczem opium, tak jak on? Uciekaj stąd. Życie toczy się gdzie indziej!

Podalam mu rękę i wyciągnęłam go z łóżka.

Z przerażeniem wyjmował jakieś ubrania. Schował swoje sztabki złota i klejnoty razem z tymi, które mu przyniosłam. Pomogłam mu zawiązać węzełek, zarzucił go na plecy. W stajni osiodłali dla niego konia. Służąca, którą wysłałam do kuchni, przyniosła jedzenie i bukłaki z wodą. Mój brat wsiadł na konia; kazałam otworzyć bramę. Rozejrzał się z wahaniem, nie był pewien, czy powinien wyjeżdżać.

Krzyki dochodzące z wewnętrznych pawilonów wyrwały go z odrętwienia.

Przy bramie koń niecierpliwie grzebał kopytami. Chunyi odwrócił się:

- Dokąd jadę? - spytał.

- Do Pekinu, do stolicy!

- Kiedy mam wrócić?

Ale koń już wyrywał do przodu szeroką drogą, wijącą się w dół. Zrobiłam kilka kroków i także wyszłam za bramę. Zadrżałam na widok bezkresu świata zewnętrznego.

- Żegnaj! - krzyknęłam, a łzy zamgliły mi wzrok. - Mój bracie, jeszcze się zobaczymy!

Wytarłam oczy wierzchem rękawa. Chunyi jeszcze raz się odwrócił. Wkrótce jego postać na koniu stała się czarną plamą, rozplynęła się w cieniu doliny.

Z płaczem wróciłam do domu. Ogarnęły mnie kolejne niepokoje: czy w losie mojego brata było zapisane, że pewnego dnia opuści rodzinne gniazdo i będzie się błąkał po świecie?

Powinnam była może poradzić mu, żeby schronił się u przyjaciół i wrócił, kiedy ojcu minie złość?

Moją determinacją pomieszałam karty Przeznaczenia.

Zapadła noc, wzeszedł księżyc.

Góry ogromne wznosiły się z szyderczym śmiechem. Chunyi galopował, uciekając przed swoim strachem.

Chwilami pogrążał się w myślach:

Tysiące li (Li to chińska drogowa jednostka długości ok. 576 metrów.) dzielą go od Pekinu. Droga na południe jest szeroka, bita, otoczona zaroślami. Można na niej spotkać karawany, handlarzy, wędrownych rzemieślników. Prowadzi przez miasteczka, bogate wsie, gęsto zaludnione miasta. Jeśli wsiadłby na statek w Chongqing, mógłby spłynąć Błękitną Rzeką aż na południowy wschód kraju; stamtąd pojechałby na północ, ochłodził się łagodnym klimatem, pokręcił po rozległych miastach, słynących już od starożytności z pięknych widoków i kobiet.

Druga droga była krótsza. Kierując się na północny wschód, dojedzie do zachodniego koryta Żółtej Rzeki. Jedwabnym Szlakiem przekroczy Wielki Mur i dotrze do

dawnej stolicy Xi'an. Po przebyciu rzeki pogalopuje w kierunku równiny pekińskiej.

Rzecz w tym, że służba widziała go wyjeżdżającego. Chunning, choćby torturowana, nie zdradzi go, ale niektórzy służący mogą go wydać, wtedy tyran wyśle swoich wiernych ludzi, żeby związanego przyprowadzili z powrotem.

Trzeba więc było obrać drogę, której nikt nie zna. Przypomniawszy sobie, że podczas jednego z polowań Mongołowie wskazali mu północny horyzont. Dawno temu w czasie wielkiej suszy kilka rodzin przeprawiło się przez góry, potem przez pustynię w kierunku mongolskich stepów. Stamtąd wielki szlak Tatarów prowadzi do Pekinu.

Nagle Chunyi zatrzymał się i spojrzał w górę. Niebo rozciągało się nad jego głową, jak kopuła aksamitnego namiotu. Gwiazdy migotały i gasły. Rozpoznał Wielką Niedźwiedzicę, wskazującą północ, i pognął w tym kierunku.

Dlaczego Pekin? Sam nie wiedział. Krzyk Chunning brzmiał mu jeszcze w uszach; z tchórzostwa, a może z lenistwa wykonywał jej polecenia. Dla zbłąkanego wędrowca Pekin jest przynajmniej jakimś punktem orientacyjnym.

Kiedy księżyc był w zenicie, Chunyi zsiadł z konia. Oparty o skałę, owinięty peleryną podbitą gronostajem, wpatrywał się w ogień. Ciepło płomieni rozgrzało go, poczuł śmiertelne zmęczenie. Przed oczami przelatywały mu sceny z popołudniowych wydarzeń, rozmyślał, co też mogło się stać z pierwszą konkubiną. Zanim zasnął, pomyślał jeszcze o delikatnych rękach pokojówek, o ciepłej wodzie w srebrnej wanience do mycia twarzy, o letniej herbacie do płukania ust.

Chłodne poranne powietrze obudziło go szczypaniem w nos.

Chunyi wyprostował nogi, ciężkie od zmęczenia. A gdyby tak wrócił do domu? Może noc ukoji gniew ojca, może wybaczyłby mu? Czy naprawdę byłby zdolny do

zamordowania swojego jedyne go potomka? - Jutro wrócę do domu - obiecał sobie, kuląc się z zimna. Znowu zasnął.

Przez dwa dni jechał na północ. Wspomnienie kar cielesnych wywoływało u niego dreszcz za każdym razem, gdy chciał zawrócić konia.

Droga zaczęła czepiać się coraz bardziej urwistej góry. Cień chmur muskał las. Niezliczone kaskady topniejącego śniegu opadały w przepaść. Czwartego dnia zniknęły drzewa, wyrosły przed nim nagie góry, ostre jak zęby piły. Ich granie przecinały pępowinę łączącą człowieka z ziemią, pozostawiając go niebiańskiemu osamotnieniu. Śnieg na szczytach sprawiał, że wyglądały jak ogromne ptaszyska. Głosy zwierząt mieszały się z szumem wody, z zawodzeniem wiatru. Cisza unosiła się w powietrzu, potem nagle opadała na młodzieńca, który budził się i prostował w siodle.

Czasem mył się pod wodospadem. Lodowata woda biczowała go po plecach, wykręcała szyję, dreszczem ogarniała głowę. Potem wchodził na płaską skałę i tam leżał. Ciepło suchej ziemi przenikało do jego duszy. Na tle nieba przelatywał orzeł z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Chunyi wzdychał. To był on, zagubiony gdzieś pomiędzy niebem a ziemią, między życiem a śmiercią.

Wieczorem witał go księżyc, świecący pomiędzy dwoma wzniesieniami. Z biegiem dni zaokrąglął się. Wokół Chunyiego wyrastał mur ciemności. Ogień był jedyną więzią łączącą go ze światem ludzi. Jego cichy trzask rzucał wyzwanie górom, które odpowiadały pomrukiem.

Droga łagodnie opadała zakosami, upał się wzmagął. Chunyi jechał dalej. Brakowało mu siły, aby zawrócić, zaczynało też jej brakować na dalszą podróż. Od pewnego czasu już nad niczym się nie zastanawiał. Niekiedy beształ konia, który odpowiadał mu w podobnym tonie. Głód i

pragnienie, to były jego jedyne uczucia, miał wrażenie, że on też stał się zwierzęciem.

Dokoła wznosiły się nagie szczyty i skaliste zbocza, teraz koloru ochry. Krzewy i kępy traw wspinały się na pofałdowane ściany. Świat przybrał posępną szatę. Lesiste pagórki stawały się coraz niższe, aż przekształciły się w nieskończoność krągłych wzniesień, pokrytych rudym pyłem, szarymi kamieniami, gdzie nawet młoda trawa jest pożółkła. Dolina falowała w cieniu, jej ziemia była spłowiała od gorącego wiatru. Zniknęły już ostatnie plamy zieleni. Wzgórza się rozpląszczyły; zjeżdżając na koniu z przełęczy, Chunyi ujrzał morze piasku.

Ogromne skały o nierównych kształtach wznosiły się tu i ówdzie na tle nieba. Ani jednego ptaka, ani śladu życia, tylko błędzące tchnienie słońca pomiędzy piaskami a pustką.

Młodzieniec zmarszczył brwi i głośno przeklął. Na widok pustyni rozmarzył się, zaczął wyobrażać sobie, co jest tam, dalej: stepy, rzeki, miasta pełne ludzi, setki, tysiące ludzi. Kiedyś wejdzie w ten tłum i wtedy przypomni sobie o chwili, gdy postanowił stawić czoło nicości.

Resztę dnia spędził w górach. Kiedyś u Mongołów obserwował przygotowania do podróży: napełnił bukłaki wodą, upolował zwierzyne, którą upiekł na ogniu i powiesił pod siodłem. Zebrał dużo porostów i pęków trawy dla konia.

Poruszał się nocą, prowadzony przez Wielką Niedźwiedzicę. W dzień otulał się gronostajową peleryną i krył w cieniu skały.

Trzeciego dnia, kiedy obudził go stłumiony dźwięk dzwonek, ujrzał - o pięć kroków od siebie - karawanę wychudłych wielbłądów. Nomadowie, z wytatuowanymi twarzami, głowami w ogromnych przykurzonych turbanach, przywitani się z nim.

Niektórzy członkowie tego plemienia trochę mówili w języku mongolskim, którego Chunyi nauczył się od swoich towarzyszy chłopięcych zabaw. Zaprosili go na herbatę. Zawołowane kobiety poruszały się jak duchy. Wskazali mu kierunek wysoko położonych stepów, dali bukłak pełen mleka i suszony udziec. Dźwięk dzwonków powoli zanikał. Karawana, wijąca się między czarnymi cieniami skał, wyglądała jak kreska, potem jak plamka, która na horyzoncie rozplynęła się na tle nieba.

Słyszał coś o tajemniczych królestwach, rozproszonych wzdłuż Jedwabnego Szlaku, które poginęły w wojnach i piaskowych burzach. Któregoś dnia, kiedy wstawała jutrzienka, ukazało mu się martwe miasto. Widział przysypane uliczki, rozkruszone portyki, zburzone mury, grotty włóczy wbite w wydmy, z których sterczały szkielety. Podjechał bliżej. Nagle, jakby uniosła się zasłona, obraz się zamazał, zniknął w pustce oddzielającej niebo i ziemię.

Gdy minął oazę, piasek zamienił się w duże kamienie, spod których tu i ówdzie przebijały krzewy. Szkarłatne kwiaty zakwitwały na wyschniętej ziemi. Pojawiły się kępy traw, wysuszone słońcem, potargane przez piasek. Ziemia stopniowo okrywała się wstęgami zieleni. Niebawem, jak sen, który ulatuje po obudzeniu, pustynia zniknęła.

Jechał na koniu.

Mongolskie plemię serdecznie go ugościło. Potem drugie, trzecie. Częstowali go alkoholem, herbatą z mlekiem, baranim mięsem, słodkim serem. Wieczorem rozpalali ognisko, śpiewali i tańczyli, aby uczcić spotkanie zbłąkanej duszy. Grali na lutni z rzeźbioną głową konia, recytowali epepeje o bohaterach z dawnych czasów. Chrapliwe głosy i przenikliwe śpiewy wywoływały u Chunyiego dreszcz. Powracało wspomnienie dzieciństwa.

Tęsknił za ludzkim głosem. Węszył zapachy z kuchni i upijał się jak mężczyzna.

Pokochała go Mongołka. Potem, z dala od jurt, gdzieś za wzgórzami, miewał rozmaite przygody. Kobiety prawily mu komplementy. Mówily, że ma błyski w oczach, a w środku gromy. Nie potrafiły jednak uspokoić szalejącej w nim burzy, dzikiej siły, która wrze w żyłach.

Przez większość czasu galopował, nie spotykając nikogo. Po zapadnięciu zmroku wbijał w ziemię kindżał i przywiązywał do niego konia. Kładł się na ziemi, okrywał peleryną. Patrzył w niebo, po którym z wolna wędrowały gwiazdy.

Często, kiedy tak wpatrywał się w gwiazdy, pochłaniała go otchłań wszechświata. Było coś tajemniczego w sklepieniu niebieskim, co robiło na nim tak duże wrażenie, że aż jeżył mu się włos. Wstrzymywał oddech. Cisza krążyła tuż nad ziemią, jak zwinnie lis. Zrywał się na równe nogi, dysząc. W jaki sposób podczas wiecznie ciemnej nocy zdoła obronić się przed niewidzialnymi bóstwami?

- Co ty o tym możesz wiedzieć? - spytał go z wyrzutem szaman, którego spotkał pewnego dnia i który wysłuchał jego opowieści. Był to stary Chińczyk, żyjący wśród Mongołów. Miał na sobie zatłuszczony kaftan, jego spojrzenie zachowało łagodność i przenikliwość człowieka światłego. Szanując zasady nomadów, pomimo ciekawości Chunyi nie zadawał mu pytań o przeszłość. Rozmowa toczyła się przed jurta. Obaj mężczyźni zwracali się do siebie w czystym języku mandaryńskim.

- Nasz świat podobny jest do starego zwierciadła - rzekł szaman. - Z jednej strony zdobione płaskorzeźbą, to życie; po drugiej, gładkiej stronie jest śmierć. Kiedy bogowie podają nam gładką stronę lustra, ogarnia nas strach. Dlatego że widzimy wtedy swoje własne odbicie. Życie duszy jest długim

cyklem inkarnacji. W czasie jednego istnienia kilka razy umieramy. Czy obserwowałeś węża, który zrzuca skórę? Jeśli chcemy rosnać, musimy pozwolić bogom odzierać nas ze skóry.

- Co mam robić? - pytał dalej Chunyi. Nie mógł zrozumieć sensu tych wyjaśnień.

Stary Chińczyk wymamrotał jakieś zaklęcia. Przed stosem kamieni palił sierść wilka, potem uważnie badał popiół. Zmienił mu się głos, rysy twarzy zaczerwienionej od płomieni ściągnęły się, jakby wyrażały zdziwienie.

Wypowiedział te tajemnicze słowa:

- Życie jest wieczne, a rozstanie przemijające. Przeznaczenie jest wartką rzeką, pozwól się porwać, a staniesz nad oceanem. - Patrzył na młodego człowieka ojcowskim wzrokiem, jego głos zmienił się w szept: - Ukochana istota jest perłą, która leży w głębi ciemnych wód. Jeśli toniesz, wiedz, że po to, by wyłowić ów klejnot.

Nic nie potrafiło osłabić urody naszego ufortyfikowanego domu. Niebo było błękitne, bezkresne, słońce dalej świeciło z dostojnością nad naszym światem. Brzęczały pszczoły; drzewa kołysały się na wietrze. W naszym świecie rozpacz pojawia się jak burza. Życie, jak porost, kładzie się w czasie deszczu, a wstaje na wezwanie słońca.

Zmarł ojciec.

Wszedł do pokoju pierwszej konkubiny. Bez słowa zadał jej cios mieczem w brzuch. Krzyknęła i spadła z łóżka. Skulona, ręką przyciskając ranę, wzywała pomocy, ale służba, znieruchomiała ze strachu, nie miała odwagi podejść bliżej. Zwróciła twarz w stronę mojego ojca, który odwrócił głowę, wstrząśnięty widokiem krwi.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie, w herbaciarni w mieście Chengdu. Smukła, roześmiana, śpiewała, grając na biewie. Na sali panowała wrzawa. Pospolite rozmowy mieszały

się ze szczękiem talerzy i okrzykami kelnerów. A ona śpiewała, jej głos go upajał, okrągłe oczy były czarne jak oczy skowronka.

A teraz ta gruba kobieta leżała w kałuży krwi. Ojciec czuł na sobie jej ciężki wzrok, bolesny, pytający. Jego czoło pokryło się potem, usta wykrzywił grymas, nagle zadał drugi cios mieczem, żeby przerwać tę falę wspomnień. Wytarł ostrze skrajem kaftanu i słaniając się na nogach, poszedł w stronę drzwi. Ale córka wędrownych aktorów, która już od czwartego roku życia praktykowała sztukę walki, wstała z podłogi, rzuciła się w stronę ojca, oplótła go ramionami i wbiła w jego plecy nóż, który zawsze trzymała pod materacem.

Kiedy matka przybiegła, utykając na swoich skrępowanych nogach, ojciec i pierwsza konkubina już rżęzili. Umarli w tej samej chwili.

Po uroczystościach pogrzebowych matka zachorowała, nie mogła bowiem uwolnić się od widoku dwóch zakrwawionych ciał, wstrząsanych konwulsjami. Ich duchy nawiedzały jej sny: pierwsza konkubina miała na sobie jarmarczny strój. Ciągnęła po ziemi swojego ojca, który skarżył się płaczącym głosem. Kłócili się, zgrzytając zębami. Ich lamenty mieszały się z okrzykami nienawiści.

W złości matka wyrzuciła ciało pierwszej konkubiny przez mur. Pożarły je sępy. Dlatego teraz jękliwy krzyk ptaka dręczył moją matkę. Unosiła się na posłaniu i wydawała polecenie zabicia zuchwałego drapieżnika.

Kiedy miał miejsce ów dramat, tylko ja jedna pomyślałam o bracie. Wysłałam najlepszych jeźdźców na jego poszukiwanie. Czekanie bardzo się dłużyło, niosło w sobie niepewność. Dobrze pamiętałam groźby brata. Jeszcze jako dziecko poprzysiągł, że zemści się na mnie po odejściu ojca, kiedy to on będzie panem.

W tajemnicy przygotowywałam moją ucieczkę. Wszystkie klejnoty oddałam Chunyiemu, musiałam więc ukraść trochę biżuterii matce. Kazałam uszyć kilka strojów do konnej jazdy i zaczęłam się jej uczyć.

Pewnego dnia poleciłam służbie otworzyć główną bramę. Nikt nie ważył się odmówić. Zakaz umarł wraz ze śmiercią ojca, konwenanse dogorywały na łóżku mojej matki. Długa nieobecność brata sprawiła, że zarządzanie domem spoczęło na mnie.

Brama rozwarła się ze szczękiem. Oszłomiła mnie wielkość nieznanego mi świata. Powoli zjechałam z góry. Kurczowo trzymałam się cugli, miałam zawrót głowy.

Olśniły mnie barwy, światło, niemal ogłuszyły dźwięki: suchy odgłos kopyt, plusk wodospadu, spadanie kamieni, szum gałęzi, która muska skałę. Niekiedy strome zbocza gór echem odbijały mój śmiech.

Dotarłam na step. Trawy sięgały moich stóp. Otoczył mnie wilgotny zwierzęcy zapach. Rozejrzałam się po okolicy i zrozumiałam, że zeszłam z nieba, a tu, na ziemi, świat ma zupełnie inny wymiar. Dolina utraciła swój spokój. Ziemia była zniekształcona przez góry, których szczyty rozdzierały niebo. Nie mogłam dojrzeć jeziora, horyzont był pofałdowany. Trawy falowały niepokojąco, ukazując tu i ówdzie stada zwierząt, natychmiast przysłonięte zielonym przypiływem.

Dałam się ponieść koniowi. Szedł kłusem, chyba cieszył się, że może oddychać letnim powietrzem. Odgłos jego kopyt obudził żurawie, które wzlatywały w niebo. Nagle, zanim zdążyłam zareagować, ruszył galopem, a cały świat się zachwiało.

Leżałam na plecach. Poprzez fioletowe kwiatki widziałam sklepienie niebieskie, po którym wędrowały obłoki. Ziemia była nieruchoma, milcząca, przekazywała mi swoje ciepło.

Pomyślałam o Chunyim, jak wyprawiał się na polowanie, często zeskakiwał na ziemię i kładł się na plecach. Patrzył w niebo, obserwował biedronki, które wspinały się na liście, i podziwiał przelatujące motyle. O niczym nie myślał, ale czerpał siłę z ziemi.

Od chwili gdy zaczęłam wychodzić z domu, stawałam się Chunyim, jak on patrzyłam na odlatujące ptaki, jego rękami gładziłam ziemię. Chunyi wyjechał, ale jego dusza, ciągle obecna w dolinie, wprowadzała mnie w tajniki stepu.

Pewnego dnia nawiązałam rozmowę z głównym intendentem. Przyszedł przywitać się z matką, która, niestety, już go nie poznawała.

- Proszę przedstawić mi rachunki z zeszłego miesiąca, jutro będę na pana czekać w jadalni - powiedziałam.

Ze zdziwieniem skinął głową, bez jednego słowa.

Nadszedł czas, aby silną ręką zabrać się do spraw domu. Bez autorytetu gospodarza służba nie wykonywała poleceń, zaczynała podkradać, a dwie konkubiny kłóciły się i obnosiły ze swoimi wzajemnymi oskarżeniami.

Nazajutrz przyjąłm starego Li w jadalni w porze, o jakiej zwykle robiła to matka. Na posprzątanym stole ułożono dla mnie pędzelki, tusz, papier, liczydło. Przyszedł Li, uniżony, pełen wahania, ale uważnie badał mnie wzrokiem. Podjął inicjatywę przedstawienia mi szczegółowo stanu rachunków. I tak dowiedziałam się, że ta rozległa posiadłość utrzymywała się z dochodów pochodzących z lasów i hodowli. W jej skład wchodziły też karawany, które krążyły między Chinami i krajami południowego wschodu, plantacje herbaty, parcele ziemi, na których uprawiano na zmianę zboża i ryż, oraz dwa sklepy z jedwabiami, stanowiące posag mojej matki.

W innym pliku rachunków starannie zanotowano wszystkie wydatki. Nie wiedziałam dotąd, że nasze codzienne życie pożerało pieniądze, jak ogień słomę. Jeden gest, kaprys,

odrobina pudru odpowiadały uncji metalu, który wręcz topniał.

Jako dziecko chodziłam do matki, aby zjeść razem z nią poranną porcję ryżu, więc tryb jej pracy wrył mi się w pamięć. Naśladowałam jej pewność siebie. I nawet byłam bardziej stanowcza. Od tego dnia wszyscy się mnie bali i po cichu narzekali na moją surowość.

Byłam bezlitosna, ale nie okrutna. Porywczosć odziedziczoną po ojcu wyciszała łagodność, jaką wzięłam od matki. Karałam służących, którzy wykorzystywali chwilowe rozprężenie panujące w domu i kradli, poleciłam też, aby odesłano obydwie konkubiny. Kazałam zanieść im do pokoju sztabki złota.

Przyszły wyplakiwać się do mojego pokoju. Trzecia chciała wyciągnąć jeszcze trochę pieniędzy, druga pragnęła zostać. Opowiadały o swej samotności i nieszczęściu wypływającym ze złego urodzenia. Mówiły, że nie znają nawet adresu swoich rodziców, nie mają żadnej rodziny. Nie odpowiadałam. Ich lamenty były jak wir próbujący wciągnąć mnie do potwornej otchłani, w której same tkwiły.

Pomyślałam o ojcu, po raz pierwszy od jego śmierci. Poprzez zaczerwienione od łez oczy jego konkubin postrzegałam go teraz jako mężczyznę, a nie jak ojca.

Zostawiał matkę dla kobiet, które były zapalczywe i sfrustrowane. Kochał je, upajał się ich słabością. Były jego kłamstwem i jego wolnością. Były jego zwierciadłem, jego pocieszeniem.

Bez powodu, tak jak to zdarzało mi się wielokrotnie od czasu, gdy zostałam panią tego domu, ogarnęło mnie zniecierpliwienie.

- Mój ojciec obsypywał was klejnotami, ja dałam wam pieniądze, za które można pojechać aż na koniec świata i

otworzyć własny interes. Opuśćcie ten dom i nie dyskutujmy dłużej.

Trzecia konkubina rzuciła się do mych stóp, wykrzykując imię mojego ojca, błagała, abym okazała jej łaskawość matki i przeklinała nieżyjącą już pierwszą konkubinę. Wstałam i odsunęłam ją ruchem ręki.

- Proszę mnie nie dotykać. Wynoście się albo usunę was siłą.

Opluła mnie, padła na kolana i zaczęła walić głową o podłogę.

Nagle poczułam zupełną obojętność wobec tej kobiety. Sprawilo mi to ulgę. Kiedy byłam dzieckiem, bałam się jej. Jako młoda dziewczyna byłam zafascynowana jej śmiechem i powłóczyстым spojrzeniem. Teraz była już tylko sobą samą, głupią kreaturą z przeszłości, od której postanowiłam się uwolnić.

Stopy kończyły się u stóp zacienionych zboczy górskiego pasma. Po drugiej stronie widać było wioski otoczone polami, pagody zatopione we mgle. Droga pokryta pyłem zawiodła Chunyiego do pierwszej osady. Niskie chaty zwrócone były tyłem do starożytnych wałów obronnych, z których wieśniacy brali ziemię do budowy ścian. Platany poruszały liśćmi zwiędłymi od letnich upałów. Starcy w łachmanach, siedzący w kucki przed drzwiami swych domów, drzemali na słońcu. Wokół nich kury zbierały pożywienie. Przy wyjeździe z osady wieśniacy o wygolonych głowach, z cienkim warkoczykiem na plecach, okopywali pole. Unieśli głowy i patrzyli na Chunyiego z nieufnością.

Druga wioska leżała w wyschniętym korycie po wylewie Żółtej Rzeki. Gromada nagich dzieci, opalonych słońcem, otoczyła Chunyiego. Krzykiem usiłowały ściągnąć go z konia.

Kiedy przywędrował do trzeciej wioski, słońce opadało za horyzont. Chłopi wrócili już z pól. Pod purpurowymi

chmurami drzewa medytowały o przemijaniu i wieczności. Para młodych ludzi dała Chunyiemu pokój, ale nie chcieli przyjąć pieniędzy. Wczesnym rankiem dzień ożywił się dyskretną krzątaniną. Lekki wietrzyk wydymał ryżowy papier w oknach. Z ledwo słyszalnych odgłosów Chunyi wyłowił beczenie baranów i gdakanie kur, które wypuszczano właśnie z klatek. Stopniowo zaczynał odróżniać szczęk wiadra opuszczanego do studni, szelest przenoszonej słomy, szepty, trzask ognia w piecu. Zapach z kuchni przeniknął do pokoju, gdy świt rozjaśniał już okna.

Czwartą osadę zamieszkiwali mnisi. Zrujnowane świątynie były pokryte malowidłami pociemniałymi od dymu. Pod sklepieniem ciemnych galerii posągi Bodhisattwy stroiły miny, wydawały gwałtowne dźwięki na flecie, na bawle, deptały potępionych. Panowała ciężka atmosfera. Przed posągiem Buddy, przybranym złotymi liśćmi, Chunyi wziął do ręki pałeczki kadzideł. Padł na kolana, na poduszkę z żółtego jedwabiu, postrzępioną od żarliwości wyznawców. Złożył ręce i zamknął oczy. Modlitewne szepty, niesione przytłumionym echem, burzyły ciszę. To mnisi, na jego prośbę, śpiewali święte teksty. Modlił się. Potrzebował dłuższej chwili, aby wywołać z pamięci dom rodzinny. Dom pulsował, tętnił krzątaniną, starał się przywołać go do siebie. Ale on już nie słuchał. Był upadłym owocem tego drzewa przodków.

Przy wyjeździe z piętnastej wioski, w oberży, w której jadł zupę z baraniny z makaronem, spotkał przewoźników po Żółtej Rzece. Ich czarne, szerokie spodnie były na biodrach przewiązane niebieskim bawełnianym paskiem. Mieli białe kamizelki, na gołych piersiach; wystające żyły pełzały po ich rękach jak przerażający tatuaż. Nie rozmawiali, pili ryżową wódkę, przed nimi także stała zupa z baraniny z makaronem, którą żarłocznie pochłaniali. Nad rzeką Chunyi zrozumiał, że słowa zostają wchłonięte przez bezmiar błotnistych wód.

Barka odbiła od brzegu, ziemia roztaczała bezkresny widok przed tymi, którzy ją opuszczali. Długo ciągnęło się piaszczyste wybrzeże, trzciny drżały na wietrze. W oddali kukurydziane pola oplatały łany zboża.

Na horyzoncie góry spłaszczwały się, po pewnym czasie widać już było tylko potoki, spienioną wodę i wiry. Po niebie o niezdecydowanej barwie ciągnęły obłoki i dzikie gęsi. Rzeka podobna była do pokrytej zmarszczkami twarzy starca. Chunyi, który płynął po raz pierwszy, wymiotował. Chrapliwy śmiech jak drwina dobył się z gardła przewoźnika, który zaczął śpiewać.

Na równinę Środka Chunyi wyjechał przez bramę Wielkiego Muru, mijał osady, miasta, gdzie zmieniał ubranie, fryzurę z czasu przeszłej dynastii. Poprawiał swoją wymowę, która wzbudzała zdziwienie, upraszczał zdania o nazbyt skomplikowanym stylu.

Jesień wspięła się na góry, zajrzała do klasztorów, po czym zeszła na równinę, gdzie wieśniacy właśnie zaczynali żniwa. Wreszcie Chunyi dojechał do Pekinu, miasta za ząbkowanymi murami, o otwartych bramach.

Ulice były tak zatłoczone, że Chunyi musiał zsiąść z konia. Doszedł pieszo do centrum miasta. Mandżurzy z warkoczykami wyróżniali się pośród tutejszych mieszkańców z włosami obciętymi do ramion. Sklepy z jedwabiami, apteki, sklepy kolonialne, salony herbaciane, domy uciech ciągnęły się w nieskończoność. Grupki starych kobiet kucały na ziemi, sprzedawały owoce, jarzyny, machając wachlarzami dla odpędzenia much.

Ulice były pokryte kurzem, wypełnione cierpkim odorem nędzy. Ludzie mieli twarze żółte, nieprzeniknione, nieruchome, ale można było w nich dostrzec pewną wyniosłość. Mężczyźni mieli na sobie brudne tuniki, pogniecione spodnie, kobiety małe kamizelki włożone na

kaftan. Na skrzyżowaniu ulic trupa jarmarcznych aktorów pokazywała akrobacje, a mała zbierała pieniądze.

Nagle ulica zaczęła się poszerzać. Czarne maszyny, ogromne, przerażające, jechały i dzwoniły. Przez otwarte do połowy okno Chunyi dostrzegął upudrowaną twarz kobiety czy mężczyznę z wąsikami.

Pod wysokimi murami w cieniu cyprysów życie wydawało się spokojniejsze, ale też bardziej ponure. Niektórzy przechodnie nieśli klatki z ptakami. Rikszarze siedzieli na chodniku, czekając na klientów. Ziewali, rozmawiali albo wyłapywali pchły z postrzępionych kaftanów. Chunyi odważył się spytać, jak dotrzeć do Zakazanego Miasta. Jeden z nich obrzucił go wzrokiem od stóp do głów, po czym ospałym gestem skierował palec na wschód. Z czystą pekińską wymową, w której ledwo porusza się językiem, przedłuża spółgłoski, a nosowy rezonans nadaje mowie nutę uprzejmości z lekkim odcieniem ironii, powiedział: „Prosto przed siebie, jaśnie panie”.

Wkrótce ukazała mu się ogromna brama, podtrzymująca pagodę. Chmara jaskółek latała nad jej połyskliwym dachem, wydając jęśliwe krzyki. Wielbłądy, powiązane ze sobą, leżały w kurzu, muły noszące zbiorniki z wodą przeżuwały siano. Pod murem siedział ślepiec, przepowiadał przyszłość mężczyźnie z karawany. Jakiś starzec zebrał, mała dziewczynka, trzymająca go za rękę, śpiewała słabiutkim głosem.

Brama otworzyła się, ukazując niezbyt długi tunel, który wychodził na rozległy teren. Sprzedawano tam gorącą zupę, podgrzewaną na małych piecykach, mięso pieczone na rożnie, różne starocie, stosy ubrań, pęki chryzantem, jaśmin w doniczkach albo sznury z kwiatów. Rozlegały się krzyki, nawoływania, targowanie, mieszały się akcenty z północy i z południa, ale wszyscy odznaczyli się pekińską uprzejmością.

Pośród tego zgiełku Chunyi dojrzał drugą bramę, o wiele bardziej okazałą niż pierwsza.

Była odgradzona szeroką fosą, na jej szczycie powiewała duża flaga, a na frontonie figurował napis: „Brama Niebiańskiego Spokoju”.

Chunyi przeszedł przez most z białego marmuru, o rzeźbionych poręczach. Zdziwił się, że wrota, najeżone ćwiekami z brązu, pozostają otwarte. Wszedł na przestronne podwórko. Na wprost wznosiła się brama Południowa, strzeżona przez żołnierzy w żółtych mundurach. Słysząc suche trzaski. Wychodziła grupa wojskowych. Zniknęli za jedną z bocznych bram.

Zapanowała cisza. Latały piskliwe jaskółki. Zachwalające towar okrzyki jednego ze sprzedawców ponad murem dotarły do uszu Chunyiego.

Z wież i pawilonów odpadała farba, z dachów o uniesionych krawędziach zniknęły gargulce. Trawy samosiejki wyrastały ze szpar w bruku. Przygnieciony zmęczeniem, Chunyi pochylił plecy, ściągnął cugle i także odjechał boczną bramą, w poszukiwaniu oberży. Nazajutrz, być może nazajutrz, postanowi, co będzie robił w mieście swoich przodków.

Matka umarła, wreszcie uwolniona od gnębiącego ją obłędu. Płakałam, ale na dnię mojego smutku odnajdywałam pewną radość. Matka była mi teraz o wiele bliższa. Wniknęła we mnie, w mój oddech. Przeniknęła w to, co niewidoczne.

Z biegiem czasu jednak i to uczucie zniknęło. Zaczynałam wątpić, cierpieć z powodu jej odejścia. Zastanawiałam się, czy duchy istnieją, czy mają serce, czy bogowie czuwają nad śmiertelnikami. Czasami ogarniało mnie poczucie pustki, nieskończoności. Wtedy przebierałam się pospiesznie, bez zatrzymania zjeżdżałam konno z góry i galopowałam aż do

jeziora lśniącego przejrzystymi wodami, bezkresnego zwierciadła mojej duszy. I tam szlochałam.

Pewnego wieczoru ukazała mi się matka ubrana w fioletową spódnicę, którą tak lubiłam, gdy byłam dzieckiem. Długo do mnie mówiła o losie, jaki czeka mojego brata i mnie, o przyszłości naszego domu, o naszym potomstwie.

Po obudzeniu te słowa, które, jak się zdawało, głęboko zapadły mi w pamięć, natychmiast uleciały jak chmara ptaków.

Były ze mną góry, stepy i jezioro, wierne i niezmiennie. Nauczyłam się polować, zaopiekowałam się sokołem brata. Moja skóra w wyniku długotrwałego przebywania na słońcu była teraz ogorzała, a ręce zniszczone przez cięciwę łuku, pokryte zgrubieniami. Siadywałam na szczycie muru, zwrócona przodem ku nieskończoności. Przymykałam oczy i koncentrowałam się, chciałam wychwycić myśli mojego brata spośród miriad innych przekazów, przenoszonych przez wiatr. Krzyki, płacze, śmiechy, miłosne szepty, szum rzek, miliony, miliardy dusz pojawiały się i gasły, jak gwiazdy na oceanie życia. Ale mój brat milczał. Wtopiony w świat, wiódł nowe życie.

Przy jedwabnym pasku nosiłam klucze do drzwi, do sejfów. Pobrzękiwały przy każdym moim kroku. Zarządzałam dobrami z surowością, aby podtrzymać nieskazitelny wizerunek rodziny, powstrzymać jej upadek. Byłam ostatnią wojowniczką, broniłam sanktuarium moich zmarłych przodków.

A wokół mnie wiatr, śnieg, cisza i pomruk stepów.

Wiadomości z Pekinu rzadko docierały w góry: szykowały się jakieś wojny; odbywały się protesty przeciw rządowi; policja masakrowała studentów; potem oczekiwanie, niepewność.

Wyszłam za mąż za mężczyznę, którego wybrałam.
Zaszłam w ciążę. Życie kiełkowało we mnie. Wirowało;
potem uspokajało się. Nosłam w moim ciele jezioro, morze.
Stałam się sklepieniem niebieskim.

Pewnej nocy mały człowieczek nagle się obudził. Skulił
się, wyprężył. Rankiem urodziłam dziecko płci męskiej.
Pokazano mi je. Pomarszczone, zakrwawione, płakało.

III

O szóstej rano, wiatr przepędził chmury.

Na ulicy narastał hałas. Akordeony wydobywały popularne melodie w ogłuszającym dudnieniu bębnów. Rozlegały się śpiewy, potem cichły, huczały oklaski. Nagle głos z megafonu krzyknął: „Rewolucja jest najwyższą racją! Witamy tych, którzy chcą rewolucji! A ci, którzy nie chcą, niech się wynoszą!”.

1966, w tym roku, obfitującym w ważne wydarzenia, miałem szesnaście lat. Ciemny meszek pojawił się nad moją górną wargą. Nosilem w sercu ogromne cierpienie młodzieńca, który pragnie stać się mężczyzną.

Dopadła mnie melancholia pomieszana z oszołomieniem. Z pustką w sercu, z odrętwieniem w duszy, chodziłem na spacer do ruin pałacu Wiosny. Przyszłość nie ciekawiła mnie, nie pamiętałem już dzieciństwa, potrafiłem jedynie zadawać sobie bolesne pytanie: „Kim jestem?”.

W ten piękny letni poranek wydarzył się cud.

Zwabiony hałasem, wyjechałem na rowerze. Na skrzyżowaniu Zhong Guancun spotkałem studentów z uniwersytetu Qinghua, idących od strony campusu. Ubrani w zielone mundury wojskowe, na piersi mieli wizerunek prezydenta Mao Zedonga, na prawej ręce czerwoną opaskę, wymachiwali chorągwiemi, trzymali transparent szerokości dziesięciu metrów, zrobiony z dwóch zasłon zerwanych w sali konferencyjnej. Napis brzmiał: „Niech żyje przewodniczący Mao”.

Zostawiłem rower na chodniku i przyłączyłem się do tłumu. Nikt tego nie zauważył, wyjąłem więc z kieszeni małą Czerwoną Książeczkę i zacząłem maszerować.

Wiedziony ciekawością, posuwałem się do przodu szybciej niż inni. Wkrótce włączyłem się w następną grupę studentów, złożoną z dzieci chłopów, robotników, drobnych

urzędników. Ich ubrania mniej rzucały się w oczy. Mieli na sobie niebieskie pogniecione spodnie: od roku zielony wojskowy uniform stał się przedmiotem luksusowym, symbolem uprzywilejowania. Ich opaski na rękawie nie miały oficjalnych wymiarów. Były uszyte ręcznie i w pośpiechu farbowane na czerwono. Atmosfera była gorąca, z tych ludzi emanowała radość. Jedna z dziewczyn, prawie dziecko, siedząca na wózku ciągniętym przez riksę, z zawrotną wirtuozerią grała na akordeonie. Wokół niej płąsał portret przewodniczącego. Młody olbrzym z krótko ostrzyżonymi włosami maszerował na czele grupy. Ubrany był w niebieską wyblakłą kurtkę, połataną na łokciach. Z megafonem przy ustach recytował wiersze przewodniczącego Mao:

Sam, w jesiennym chłodzie,
Pośrodku Siciang, uciekając na północ,
Na sam cypel Pomarańczowej wyspy,
Widzę, na tysiącach czerwonych gór,
Lasy ubarwione czerwienią od dołu do góry,
Na rozległych wodach, na zielonej przejrzystości,
Setki statków mkną naprzód,
Orły pokonują nieskończone przestrzenie,
Ryby unoszą się na niewielkiej głębokości,
Wszystkie stworzenia, pod przyćmionym niebem,
Prześcigają się ku wolności.
Poruszony tym bezmiarem,
Pytam, kto na owej mglistej przestrzeni
Steruje tym, co się wylania, tym, co znika.

W rytm tych wspaniałych wierszy słońce wylaniało się zza drzew i ogarniało nas morzem światła. Popychany przez studentów, którzy szli wieszać na murach karykatury wrogów ludu, znalazłem się w kolumnie Uniwersytetu Pekńskiego, gdzie toczyła się walka.

Dwie grupy szły ramię w ramię, rzucając na siebie wzajemnie ironiczne przekleństwa, zabijając się spojrzeniami. Nagle, w ogólnym zgiełku, dwie dziewczyny niesione na ramionach przez kolegów wychyliły się ponad tłum, twarzą w twarz. Zabrzmiały hymny rewolucji, którymi dziewczyny dyrygowały. Po jednej stronie na cały głos śpiewano *Wschód jest czerwony*, w drugim obozie zaintonowano *Żeby żeglować, potrzeba nam Sternika*. Potem pierwsi zaczęli śpiewać unisono: *Idźmy do przodu! Idźmy do przodu! Nasza gromada maszeruje ku słońcu, na co drudzy odpowiedzieli pieśnią Czerwona gwiazda świeci najjaśniejszym światłem...*

Pod sztandarem Uniwersytetu Ludowego odnalazłem harmonię. Dwaj studenci złapali mnie za ręce. Około stu młodych ludzi utworzyło blok i wspólnie odśpiewaliśmy poematy *Przewodniczącego*. Mój głos wtopił się w głośny chór. Nie słyszałem swego głosu, ale słowa dźwięczały mi w głowie, rozpałały trzewia.

Oto cudowny ideał: pragniemy dobrze prosperujących Chin, szczęśliwego ludu, klasy robotniczej uśmiechającej się z zadowoleniem, dzieci rozkwitających jak bukiety kwiatów.

Nagle zapanowała cisza, zaczęło się przemówienie. Z megafonu płynął wyraźny, łagodny, krystaliczny głos:

- Towarzysze, żyjemy w epoce wielkiej czystki. Osiem lat wojny z Japończykami i cztery lata walk z Kuomintangiem zrujnowały kraj, sprowadziły do zera naszą cywilizację. Nasze pokolenie, które przyszło na świat wraz z Ludową Republiką, nie zna ani niewolnictwa, ani terroru. Nauczyliśmy się odróżniać dobro od zła, piękno od brzydoty, tchórza od bohatera, mamy świadomość, że nasza przyszłość zostanie poświęcona odbudowie kraju. Brakuje nam jednak doświadczenia, potrzebujemy prób, tak jak stal pragnie rozpaść się do czerwoności w wielkim piecu.

My, studenci, żywimy pragnienie ulepszenia społeczeństwa. Wczoraj chcieliśmy być fizykami, nauczycielami, bibliotekarzami i ofiarować ojczyźnie naszą wiedzę. Dzisiaj, nasz kochany Przewodniczący powiedział: Trzeba we wszystko zwątpić; trzeba wszystko obalić. „Wątpić we wszystko” to znaczy sądzić po swojemu, odważyć się na pogardę, zaufać swoim odruchom, młodości. W maksymie „trzeba wszystko obalić”, Wielki Sternik wskazuje nam naszą misję, drogę, jaką powinniśmy obrać: Rewolucję.

To znaczy, zmuszać siebie samych do pracy nad sobą, wyeliminować u siebie resztki ustalonych zasad, a potem obalić dawne społeczeństwo i wypłenić całą jego zgniliznę.

Przewodniczący powiedział też, że „ci, którzy reprezentują władzę, ulegli wpływom burżuazji i opierają się na uległości młodzieży”. Sztywni konserwatyści, nasi nauczyciele, nasi rodzice, niektórzy przywódcy stali się przeszkodą dla ewolucji chińskiego społeczeństwa. Boją się postępu, rewolucji kulturalnej, która zabierze im władzę. Towarzysze, przyszłość należy do młodych. Zjednoczmy się pod sztandarem maoistycznej myśli, obdarzmy Mao zaufaniem, skończmy z dotychczasowymi autorytetami, zniszczmy rewizjonistów, drobną burżuazję, obrońców samowładztwa!

Niech żyje Przewodniczący Mao Zedong! Niech żyje rewolucja kulturalna klasy robotniczej! Niech żyje solidarność ludu chińskiego!

Znowu rozległy się śpiewy. Ogarnęło mnie silne wzruszenie, nie mogłem wypowiedzieć słowa. Nigdy jeszcze przemówienie nie poruszyło mnie do tego stopnia. Każde z tych słów przeszływało mi serce. Po raz pierwszy od roku myśli tak bardzo kłębiły mi się w głowie.

Nigdy nie wątpiłem w moich rodziców, nauczycieli. Byli dla mnie prawdą absolutną. Moje życie toczyło się w spokoju.

Byłem dobrym uczniem, który darzył szacunkiem swoich bliskich, lubił czytać, grać w szachy, w piłkę nożną, który marzył o wstąpieniu na uniwersytet pekiński, żeby kiedyś zostać astrofizykiem.

W tym szeroko zakrojonym programie życiowym jaką część stanowiła moja własna decyzja, a ile w tym było decyzji moich rodziców? Nauczono mnie szacunku, wpojono posłuszeństwo. Nigdy nie ważyłem się krzyczeć, śpiewać, głośno, z podniesioną głową wyrażać własnych opinii. Byłem manekinem wyprodukowanym seryjnie, któremu nadaje się jakąś funkcję, jakiś los. Obca mi była możliwość odmowy i sam nie wiedziałem, kim właściwie jestem. Jedynie bunt wykuje moją tożsamość.

Szukałem w tłumie młodej dziewczyny z megafonem, gdy nagle dołączyły do nas tysiące czerwonogwardzistów, którzy wyszli ze swoich uniwersyteckich campusów. Ktoś wręczył mi czerwony sztandar. Jedna ze studentek dała mi kartkę zadrukowaną ostatnimi dyrektywami Komitetu Centralnego rewolucji kulturalnej. Złożyłem kartkę na pół i wsunąłem do kieszeni marynarki, na sercu.

Szliśmy ulicami, alejami, tworzyliśmy czarny strumień, a małe Czerwone Książeczki, którymi machaliśmy nad głowami, podobne były do miriad kropel piany, odbijających promienie słońca. Zeszliśmy w dół alei Zhong Guancun, przekroczyliśmy most Białych Skał, minęliśmy bramę Wielkiej Budowy i zagłębiliśmy się w aleję Długiego Pokoju.

W czasie gdy manifestowaliśmy naszą wierność Przewodniczącemu, setki tysięcy mieszkańców Pekinu, ciekawych tego, co się dzieje, zebrało się na chodnikach, żeby nam wtórować. Wojsko, bez ociągania się, weszło do akcji i odsunęło ich, tworząc dwa równoległe szpalery.

Po dwóch godzinach marszu zaczęliśmy odczuwać zmęczenie. Ponad ramionami żołnierzy podawano nam

szklanki z wodą, my dziękowaliśmy ofiarodawcom rewolucyjnymi pieśniami. Wołano „brawo!”, a my odpowiadaliśmy sloganami wykrzykiwanymi unisono. Przeżywaliśmy chwile miłości i silnej więzi.

W pobliżu placu Tiananmen aleja została zamknięta przed ludźmi. Żołnierze zatrzymywali nas i rozdzielali na grupki. Słońce przypiekało swymi parzącymi promieniami. Ociekaliśmy potem, a musieliśmy się stłoczyć, więc pociliśmy się jeszcze bardziej. Różne ideologiczne szkoły Czerwonej Gwardii wykorzystały tę sytuację, żeby sobie nawymyślać. Nagle, jak zawierucha wybuchająca na oceanie, entuzjazm porwał nas w zbiorowym uniesieniu. Nasze śpiewy wybuchły na nowo. „Niech żyje myśl Mao Zedonga!”, „Niech żyje partia komunistyczna!”, i znowu recytowaliśmy poemat Przewodniczącego - wszyscy znali go na pamięć:

Ileż zadań, w oczekiwaniu,
I te najpilniejsze.
Czas nagli,
To zbyt długo, dziesięć tysięcy lat;
Trzeba trzymać się dnia, chwili.
Cztery morza burzą się w szale chmur i fal;
Pięć kontynentów powstaje w huczącej nawałnicy.
Aby oczyścić ziemię z robactwa,
Nasza siła jest nie do odparcia...

Powoli tłum ruszył. Towarzysze, którzy szli przede mną, zmuszali mnie do szybszego marszu. Szliśmy pod wiatr, sztandar, który niosłem, smagał mnie po twarzy, chwilami mogłem dojrzeć nieskończoną ilość zaczerwienionych policzków, las rąk wzniesionych w górę, portrety Przewodniczącego poruszające się nad głowami. Tłum przemieszczał się w chaotycznym zgiełku. Krzyknąłem do ucha jakiegoś studenta, pytałem go, co się dzieje. Gestem dał mi do zrozumienia, że nic nie słyszy.

Tłum stanął. Zapanował bałagan. Nagle ci, którzy byli przede mną, zaczęli biec.

- Dokąd biegniecie? - krzyknąłem. - Poczekajcie na mnie!

Nawet maruderzy mnie wyprzedzili. Zdenerwowany, pobiegłem za nimi, moje ruchy krępował sztandar, który ciążył mi na ramieniu. Rozlegały się histeryczne krzyki. Wokół mnie czerwonogwardziści zrywali czapki i podrzucali je do góry. Łzy płynęły im z oczu. Młoda dziewczyna potknęła się i upadła. Chciałem ją podnieść. Wstała. Krew ciekła jej z nosa, ale nie zwracając na to uwagi, podniosła z ziemi swoją Czerwoną Książeczkę i z krzykiem pobiegła dalej.

Wtedy usłyszałem wzmocniony setkami megafonów drżący głos o ciężkiej wymowie z południa, który mówił: „Witajcie, moi mali czerwoni żołnierze!”.

Równocześnie z głosem płynącym z nieba na horyzoncie morza zielonych mundurów ukazała się brama Niebiańskiego Spokoju, jak we śnie. Ogromny połyskliwy dach, spoczywający na purpurowych kolumnach, skrywał taras, z którego powiewały tysiące sztandarów. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Na pewno jest tam Przewodniczący Mao, pozdrawia swoich wiernych zwolenników! Wzrokiem poszukałem Jego sylwetki, ale rozszalały tłum poruszał się jak tonący okręt. Wszystko mnie oślepiało: powiewające sztandary, połyskujące portrety, gołębie, które wypuszczano w powietrze, kolorowe balony ulatujące w niebo.

„Niech żyje Przewodniczący Mao, niech żyje Przewodniczący Mao!”, wykrzykiwałem moją modlitwę aż do utraty tchu. Głos Przewodniczącego znowu zabrzmiał w głośnikach, jakby w odpowiedzi: „Mali czerwonogwardziści, witajcie!”.

Łzy rozpaczy płynęły mi po policzkach. Doszedłem do samego końca trasy pochodu, a jeszcze go nie widziałem. Odwróciłem się po raz ostatni.

Chyba za sprawą opatrności kilku studentów odsunęło się na bok. Między dwoma czerwonymi sztandarami ujrzałem, na górze bramy Niebiańskiego Spokoju, białą plamę ponad głowami przywódców ubranych na ciemno. Uniesioną ręką Przewodniczący pozdrawiał wibrujący tłum.

Sztandary zasłoniły widok. Zostałem porwany przez ludzką falę.

W liceum zajęcia zostały przerwane na początku września: przychodziliśmy do szkoły zgłębiać nowe dyrektywy albo dyskutować nad drogą do socjalizmu. Nie wiedziałem, że powstał pierwszy komitet rewolucyjny. Wezwano mnie na jego czwarte zebranie.

Odbywało się w sali gimnastycznej. Pomiedzy członkami komitetu rozpoznałem kilku kolegów z klasy maturalnej. Inni byli prawdopodobnie uczniami klas niższych. Żaden z nich nie należał do delegacji uczniów, w której pełniłem funkcję szefa propagandy i kierownika szkolnego radiowęzła.

Na mój widok niektórzy skinęli głową na powitanie, inni, być może mniej towarzyscy, ani drgnęli. Usiadłem z boku jako obserwator.

Dwaj czerwonogwardziści z Uniwersytetu Ludowego przybyli, aby opowiedzieć nam o „ostrzeżeniu z 16 Maja”, w którym centralny komitet polityczny przypominał o obecności rewizjonistów w łonie partii. Oni tylko czyhają na okazję, żeby przejąć władzę i dyktaturę proletariatu zamienić na kapitalistyczną tyranie. „Ostrzeżenie” mówiło, że walka z tymi kontrrewolucjonistami określa przyszłość partii i chińskiego losu. Cała partia powinna zjednoczyć się pod wielkim sztandarem rewolucji kulturalnej, potępić rzekome znakomitości nauki, edukacji, informacji.

Zacząła mówić jakaś studentka. Zachęciła nas do zreorganizowania naszego komitetu rewolucyjnego w sposób bardziej skuteczny, do stworzenia konkretnych projektów, abyśmy mogli odpowiedzieć na „ostrzeżenie”.

Rozczarował mnie jej głos, monotony, bez wdzięku. Chyba nigdy już nie spotkam nieznajomej, która miała tamten łagodny dźwięczny głos.

Wiatr wpadał przez okna i przewiewał całą salę gimnastyczną. Odgłos jakiegoś upadku przerwał dyskusję. Opadło nas milczenie, zatrważające, ekscytujące.

W dzieciństwie wszyscy bawiliśmy się w wojnę. Pomysły czerpaliśmy z filmów i komiksów, ich bohaterowie byli dla nas przykładem. Chłopcy władali drewnianym bagnetem, na głowy wkładali koronę z płaczącej wierzby. Dziewczeta, w chustkach na głowach, odgrywały pielęgniarki. Dla treningu biegaliśmy do lasu, skakaliśmy do glinianek, wdrapywaliśmy się na dachy. Czasami musieliśmy stawić czoło torturom. Wymyślaliśmy specjalne przyrządy, bawiliśmy się na zmianę w kata i ofiarę. Raz na tydzień głośniki zawieszane na drzewach nadawały syrenę alarmową, a przenikliwy głos wzywał do ukrycia się w piwnicach. Dla dorosłych była to symulacja i ćwiczenia, dla dzieci prawdziwy kontratak Kuomintangu. Stłoczeni w ciemnym, wilgotnym podziemiu, drżeliśmy z podniecenia. Tam na górze... wróg jest wszędzie. Szuka nas, rzuca bomby. Walczymy w ruchu oporu.

Na zewnątrz sali gimnastycznej wybuchł ogłuszający hałas. Po serii dzwonek rozległy się kroki, bezładne głosy, śmiechy, szczęk rowerów. Mimo jasności dnia za kratami okien pociemniało, okna przesłonił czarny dym i tumany kurzu. Duża, ale wąska sala podobna była teraz do nory.

Wojna! Wreszcie wybuchła!

Jakiś głos przerwał milczenie: „Złożmy przysięgę! Przysięgam, że aż do śmierci będę bronił chińskiej partii

komunistycznej i wielkiego przywódcy rewolucji, przewodniczącego Mao".

Uniesiony przez ten dramatyczny nastrój, przysięgałem wraz z innymi:

„Przysięgam, że aż do śmierci będę bronił partii komunistycznej i wielkiego przywódcy rewolucji, przewodniczącego Mao Zedonga".

Po przysiędze atmosfera rozluźniła się i zaczęliśmy planować przyszłe działania.

- Chcesz nam pomóc? - zwrócono się do mnie.

Spodziewałem się tego. Po chwili zamierzonego milczenia skinąłem głową. Jeden z chłopców, przywódca grupy, oznajmił:

- Mianujemy cię zastępcą przywódcy komitetu rewolucyjnego.

Po krótkich oklaskach rozwinął na podłodze rulon papieru:

- Oto pierwsza dazibao w naszym liceum. Jutro zawiśnie na głównej tablicy ogłoszeń. Towarzyszu Wen, twoim zadaniem będzie umieścić ją w dzienniku, którego jesteś naczelnym redaktorem, i rozpowszechnić jutro od rana w szkolnym radiowęźle, zaraz po recytacji maoistycznych maksym.

Przebiegłem wzrokiem dazibao, pisaną czerwonym tuszem ogromnymi literami. Potępiano w niej Cai Yunga, naszego dyrektora, pierwszego rewizjonistę. Ten człowiek, prawie pięćdziesięcioletni, był żołnierz czerwonej armii, stanowił dla mnie zagadkę. Spotykałem go w czasie zebrań licealnych przywódców z delegatami uczniów. Miał przymknięte oczy, palił papierosy, które dla przyjemności obracał w pożółkłych palcach, pozwalał nam mówić, a nasze skargi kwitował skinieniem głowy. Wobec jego milczenia nasze projekty reformy nie mogły się udać, często więc były porzucane po drodze. Od dnia, gdy zauważyłem jego błędy

ortograficzne, zacząłem podejrzewać, że otrzymał swe stanowisko w nagrodę za udział w Wielkim Marszu, bo jego tajemnicza mina miała chyba pokrywać niewiedzę i niekompetencję.

Nazajutrz rano ogłosiliśmy w radiu prawdziwą „bombę” na temat naszego przywództwa, wyszczególniając przewiny tego, który od piętnastu lat jest dyrektorem liceum. Po przeczytaniu tekstu czułem się jak antyczny bohater, który poruszył góry.

Czerwonogwardziści wyznaczeni przez nasz komitet wyważyli drzwi do gabinetu dyrektora. Zatrzymali go, poprzewracali meble, porozrzucali papiery i zamknęli rewizjonistę w sali gimnastycznej.

Przesłuchanie trwało bardzo długo. Wróg nie chciał przyznać się do zbrodni zatruwania młodych umysłów i powstrzymywania ich rewolucyjnego zapału. Na usprawiedliwienie nieustannie powtarzał, że był strażnikiem myśli maoistycznej w służbie ludu. Taka monotonna paplanina zdenerwowała nas. Mocne kopniaki sprawiły, że zamilkł.

Nazajutrz na fasadach szkolnych budynków zawisło około trzydziestu dazibao. Potępiano w nich także innych kontrrewolucjonistów: profesora nauk politycznych, który drażnił nas już od dawna swymi intrygami, wrogo nastawiającymi nauczycieli do uczniów; sekretarkę dyrektora podejrzewaną o występny związek z przełożonym.

Potrzeba nam nowych aresztowań. Trzeba przystąpić do nowego werbunku.

Poruszyłem niebo i ziemię, żeby zdobyć wojskowy uniform, wymieniłem luksusowe wydanie Czerwonej Książeczki na stary pas z lat pięćdziesiątych, z czasów gdy ochotnicza Armia Ludowa maszerowała na Koreę. Na rękę nosiłem opaskę, na której żółtymi znakami były wyhaftowane

słowa „Czerwona Gwardia”, a na piersi śliczną plaketkę z wizerunkiem przewodniczącego Mao na cynobrowym tle.

Pierwszy ważny wiec oskarżający odbywał się na boisku szkolnym, gdzie - obok trybuny - wzniesiono platformę. Przygotowałem dekorację, na którą zużyto całą czerwoną tkaninę, jaką znaleziono w liceum. W głębi sceny na purpurowej kotarze wisiał portret naszego kochanego Przewodniczącego. Rewizjonista i jego poplecznicy będą sądzeni i krytykowani pod jego spojrzeniem.

Zgodnie z najnowszą modą, oskarżeni na głowach mieli spiczaste dwumetrowe czapki z papieru, na których czarnym tuszem wypisane były wszystkie ich zbrodnie. Na szyi każdego zawieszono ważący trzy kilo transparent, na którym pod czarnym krzyżem falowało nazwisko. Tylko na szyi sekretarki byłego dyrektora wisiała - zamiast naszyjnika - para dziurawych tenisówek, jako oznaka jej rozwiążności. Trzymano im głowy w dół, a uczniowie kolejno wchodzili na scenę, wyliczali ich potworne zbrodnie, potępiali ich sabotaż i pluli na ich głowy. Po każdej wypowiedzi zebrani krzyczeli głośno: „Niech żyje przewodniczący Mao Zedong!”, „Niech żyje rewolucja kulturalna!”. Wiec skończył się ogólnym odśpiewaniem pieśni rewolucyjnych i uroczystym składaniem przysięgi na wierność Przewodniczącemu.

Pewnego ranka mury liceum pokryły się dazibao, wskazującymi na nas jako na zdrajców prawdziwej rewolucji kulturalnej. Nazajutrz przykleiliśmy nasz kontratak na te oszczercze afisze.

Pierwszego października wrogi komitet, Purpurowa Skała, wtargnął do sali gimnastycznej, z której uczynił swą kwaterę główną, i zatrzymał naszych więźniów i dwóch z naszych towarzyszy. Wieczorem urządzili tam swój sąd. Nasi koledzy razem z nauczycielami kontrrewolucjonistami zostali upokorzeni i skatowani.

Drugiego października Purpurowa Skala zaatakowała radiowęzeł. Stałem na szczycie schodów, rozpoznałem dawnych członków delegacji pośród uczniów wymachujących kijem, rakieta do badmintona i pasem. My broniliśmy się tym, co nam wpadło pod rękę. Jeden z atakujących utorował sobie drogę przez tłum, wszedł na schody. Ciosami pasa przewrócił dwóch naszych czerwonogwardzistów, którzy ruszyli na niego, by go rozbroić. Podszedł do drzwi pokoju nagrań i stanął ze mną twarzą w twarz. Wpatrywaliśmy się w siebie z uwagą.

To był delegat sportu, kapitan drużyny pływackiej, do której i ja należałem. Pływanie było najelegantszą z dyscyplin, przyjaźń łącząca pływaków z naszej drużyny była czysta i przejrzysta jak błękitna woda, w której się ściągałymi.

Chciałem przekonać go, aby przeszedł do mojego obozu. Ale jak w jakimś obłędzie uderzył mnie pasem w głowę. Zaszumiało mi w uszach, zachwiałem się. Z dziką wściekłością powtórzył cios. Kiedy otrząsnąłem się z pierwszego zamroczenia, zrozumiałem, że zaraz mnie zabije, jeśli nie będę się bronił. Podniosłem z podłogi dużą butelkę po piwie, rozbiłem ją i wpakowałem mu w brzuch. Chłopak skulił się i popatrzył na mnie oczami nabiegłymi krwią. Ogarnął mnie wstręt, z całych sił przekręciłem butelkę. Ciepła maź spływała mi między palcami, po ręce i ściekała aż na przedramię. Odrzuciłem butelkę, olbrzym zatoczył się. Schwyciłem go za kołnierz i z niespodziewaną siłą wciągnąłem na sam szczyt schodów. Wystawiłem na widok publiczny moją zakrwawioną zdobycz i wydałem okrzyk zwycięstwa. Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie.

Wyrwał mi się z gardła nerwowy śmiech i zaraz potem kopnąłem w tyłek delegata sportu. Poturlał się po schodach i runął na podłogę.

Skorzystaliśmy z popłochu, w jaki wpadli nasi wrogowie, wepchnęliśmy ich do sali gimnastycznej i otoczyliśmy.

Posiłki nadeszły wieczorem: komendant komitetu rewolucyjnego w sąsiednim liceum, bliski przyjaciel jeszcze z przedszkola, wysłał swoich najbardziej zaciekłych czerwonogwardzistów. Wyważyliśmy drzwi. Po trzygodzinnej walce wręcz członkowie Purpurowej Skały zostali schwytani.

Pogardzaliśmy torturami, więc uwolniliśmy ich w geście miłosierdzia. Zatrzymaliśmy tych, którzy zgodzili się być z nami, a wejście do liceum było odtąd zamknięte przed niepokornymi.

Piątego października odtworzyliśmy komitet rewolucyjny w liceum; jednogłośnie wybrany zostałem komendantem.

Szóstego października, późnym popołudniem, odwinąłem z głowy bandaż i odtąd ukrywałem bliznę pod wojskowym kaszkietem. Zdjąłem marynarkę, na której pomimo prania widoczne były jeszcze plamy krwi, i pożyczyłem od kogoś koszulę. Stanowczym gestem oddaliłem obstawę. Z nożem w kieszeni wróciłem do domu na rowerze.

Pozostawiłem za sobą całe to wrzenie, dziwiłem się, że za murem naszego liceum świat jest ciągle taki sam. Miasto było spowite spokojem i ospałością.

Dwa zmęczone muły powoli ciągnęły wózek. Podmuch wiatru szeleścił liśćmi topoli rosnących przy asfaltowej drodze. Było jeszcze lato, panował wilgotny upał.

Jadąc na rowerze, oglądałem moje miasto z pożądliwością ocalonego od Piekła. Jednak radość ze stwierdzenia, że słońce świeci, a niebo ciągle jest błękitne, szybko się rozwiała. Dziwna myśl przyszła mi do głowy i przeraziła mnie: a jeśli wszystko, co robiłem od września, było daremne? Może walczyłem we śnie, o sen? Bo przecież świat, zubożniały, dalej trwa.

Światło zachodzącego słońca spowijało dom, w którym mieszkałem, i sprawiało, że cienka warstwa miazgi węglowej, od lat leżąca przed głównym wejściem, połyskiwała w jego promieniach. Moja rodzina gnieździła się na drugim piętrze, na końcu długiego korytarza bez okien, oświetlonego rzędem żółtych żarówek. Naszą kamienicę zamieszkiwali profesorowie, lekarze, inżynierowie, wszyscy w oczekiwaniu na przydział mieszkania przez państwo. Jak większość sąsiadów, rodzice od skończenia studiów byli zapisani na liście oczekujących. Co dwa miesiące matka szła do biura politycznego komisarza szpitala w Pekinie, w którym wraz z ojcem pracowali jako chirurdzy. Odpowiadano jej, że osiedle jest już zbudowane, ale najpierw trzeba pomieścić w nim wyższych urzędników. Innym razem tłumaczono, że szacunek i pierwszeństwo należą się przede wszystkim członkom rodzin ofiar wojny. Kiedy indziej znowu przyznali mieszkanie parze emerytów, bo jako dobrzy komuniści moi rodzice mogą przecież poświęcić swoje szczęście. Po osiemnastu latach, żyjąc ciągle nadzieją na rychłą przeprowadzkę, zadowalaliśmy się dwoma pokojami, bez kuchni i bez łazienki. Mieliśmy wspólną toaletę z sąsiadami z tego samego piętra.

W korytarzu walały się bezładnie brykiety węglowe, koła od rowerów, miednice, wózki. Na splekanych ścianach wisiały warkocze cebuli, ostrej papryki, woreczki proszku do prania, sprzęty kuchenne.

Ktoś zapalił ogień i krzątał się wokół pieca kuchennego. To sąsiadka robiła kolację dla męża, kolegi moich rodziców, który szedł właśnie na nocny dyżur do szpitala. Wrzucone na patelnię jarzyny trzepotały się w gorącym oleju. Chciałem skorzystać z zamieszania i przemknąć za plecami tej młodej kobiety, ale zatrzymała mnie.

- Wen, nareszcie jesteś, przez tyle dni nie wracałeś do domu. Dlaczego?

W tym domu przeludnionym jak mrowisko nikt nie mógł mieć żadnych tajemnic. Mimo irytacji zmusiłem się do uśmiechu. W moim interesie było, żeby nie denerwować żony kolegi moich rodziców.

- Chory... - wybełkotałem kilka niewyraźnych, niezrozumiałych słów.

Była skupiona na potrząsaniu patelnią, więc nie patrzyła na mnie i uwierzyła w to kłamstwo.

- Chory? Biedny chłopczyk! I gdzie ty nocowałeś? Co? W szkole? Trzeba było nam dać znać. Pojechalibyśmy po ciebie karetką. Jaki jesteś blady. Połóż się spać jak najszybciej. Zaraz do ciebie przyjdę.

Uciekłem co sił w nogach.

Otworzyłem drzwi i chciałem rzucić się na łóżko, ale nagle ujrzałem ojca.

Z ojcem łączyła nas szczególna więź. Wychował mnie z chłodną czułością. Traktował jednak jak równego sobie, zawsze uważnie mnie słuchał.

Był przykładem prawości. Przed wyzwoleniem, jako student dawnego wydziału medycyny w Pekinie, wstąpił do partii komunistycznej i pracował w tajnych służbach. Po narodzeniu się nowych Chin państwo wysłało go do Moskwy, gdzie doskonalił się u boku najlepszych sowieckich lekarzy. Jeden z moskiewskich szpitali złożył mu nęcącą propozycję. Odmówił jednak i wrócił do Pekinu.

Ojciec był cenionym chirurgiem, człowiekiem bez reszty oddanym swej pracy, surowym wobec siebie samego, wspaniałomyślnym w stosunku do innych. A jednak nie wiadomo dlaczego od roku cierpiałem z powodu wad mojego idola. Uważałem, że jest za dobry, zbyt rygorystyczny. Jego współczucie dla innych graniczyło z naiwnością i drażniło mnie. Chciałem usłyszeć jakąś jego skargę. Na próżno.

Zadowalał się byle czym, sumiennie wykonywał swoją wyczerpującą pracę.

Ojciec nie rozumiał znaczenia słowa „bawić się”. Przez siedemnaście lat ani razu nie zrobił ze mną latawca, a do zoo zabrał mnie jeden jedyny raz. Kiedy proponował mi wspólną wieczorną przechadzkę, rozmawiał ze mną nie po to, aby żartować, ale by uczynić ze mnie człowieka uczciwego i prawego.

Poprosił, żebym usiadł na łóżku, twarzą do niego. Mówił o konkursowych egzaminach wstępnych na uniwersytet, przewidzianych na przyszły czerwiec. Spytał, co zamierzam robić.

Powiedział:

- Nawet uczestnicząc w rewolucji kulturalnej, nie należy zaniedbywać studiów. Kto, twoim zdaniem, będzie konstruktorem socjalistycznych Chin za dziesięć, za dwadzieścia lat, kiedy pokolenie twoich rodziców się zestarzeje? Dzisiejsza młodzież będzie filarem jutra. Nie zapominaj o waszej odpowiedzialności, przyszłość kraju spoczywa na twoich barkach. Bez solidnej wiedzy nie będziesz mógł dorzucić twojej cegiełki do odnowy Chin.

Pochyliłem głowę. W głębi duszy zgadzałem się z nim. Ale ojcowska roztropność drażniła mnie właśnie dlatego, że zawsze miał rację i że chciałem przeciwstawić się sile jego perswazji.

Krzyknąłem:

- Ale tato, zapomniałeś o walce klas! O niebezpieczeństwie, jakie zagraża systemowi socjalistycznemu! Jeśli nie wyeliminujemy kontrrewolucjonistów, kraj nigdy nie zazna spokoju, nie będziemy mogli niczego zbudować. Musisz zrozumieć, że nie mamy ani chwili do stracenia!

Ojciec popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Walka klas, oczywiście, nie trzeba o niej zapominać. Ale ty jesteś za młody, żeby umieć odróżnić przyjaciół od wrogów. Nie rozumiesz dobrze, o jaką stawkę polityczną tu chodzi. Poświęć się raczej studiom.

Odpowiedziałem z oburzeniem:

- Twój pesymizm jest niebezpieczny! Nasz Przewodniczący zwrócił się do Czerwonej Gwardii w liceum przy uniwersytecie w Qinghua, żeby dodać młodzieży odwagi w jej walce z demoralizacją. Dzisiaj zajęcia szkolne są odwołane. Wszyscy uczestniczą w rewolucji kulturalnej. Wiedza jest bardzo ważna, ale liczy się jedynie rewolucja.

Nagle przerwał mi jakiś głos:

- Chcesz zmieniać świat, ale wdajesz się w rozróby ze szkolnymi kolegami! Czy to właśnie ma być rewolucja kulturalna?

Matka stanęła w drzwiach sąsiedniego pokoju, drżąc ze złości.

Poczułem się osaczony przez moich własnych rodziców; milczałem. Matka mówiła dalej:

- Dlaczego masz na sobie czyjaś koszulę? Gdzie jest twoje ubranie? Co masz na głowie? Jesteś ranny?

- Nie, nie mamo. - Skuliłem się na łóżku, zakryłem głowę rękami.

Moja matka, córka słynnego lekarza, wybrała komunizm z obrzydzenia do Chin feudalno - kolonialnych z początku wieku. Jak większość kobiet wywodzących się z dobrych rodzin, wyzwolonych przez studia uniwersyteckie, była przesadnie egzaltowana.

Wyciągnęła do mnie rękę. Ale ja się nie poruszyłem. Zraniło ją to, miała łzy w oczach.

Od roku matka mnie denerwowała, bo bez przerwy czytała te same rosyjskie powieści, płacząc nad losem ulubionych bohaterów. Jej łzy krępowały mnie.

Zamiast rzucić się w jej stronę i prosić o przebaczenie, jak chciała moja dusza, ani drgnąłem. W zdenerwowaniu waliłem pięścią w łóżko. Gwałtownie wstałem i skierowałem się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytał ojciec.

- Odchodzę!

- Zostań. Skończ z tymi głupstwami, proszę cię!

Odwróciłem głowę. Ojciec podniósł się z krzesła; obok niego stała matka. Na dworze pociemniało, mrok spowił ich grubym płaszczem. Znieruchomiali w strapieniu, podobni byli do dwóch ciemnych skał.

Pozostać z nimi to odejść od rewolucji; odwrócić się od nich to zniszczyć istoty, które kocham ponad wszystko w świecie. Poczulem gwałtowną nienawiść do siebie, do rodziców, którzy mnie spłodzili, do losu, który burzył nasz związek.

Przekręciłem klucz, otworzyłem drzwi i wypadłem na zewnątrz. Wielkimi krokami przeszedłem korytarz, w którym sąsiedzi przygotowywali posiłek. Dym, ostre zapachy, strzępki rozmów smagały mnie po twarzy. Potknąłem się o coś, nie popatrzyłem nawet, co przewróciłem, i zacząłem biec. Zbiegałem po cztery stopnie naraz, pchnąłem oba skrzydła drzwi wyjściowych.

Noc, drzewa, wolność.

Odwiązywałem rower, gdy na drugim piętrze otworzyło się okno. Usłyszałem zatrwożony głos matki, wołała mnie. Tym razem nawet się nie odwróciłem, obtarłem łzy ciekące po policzkach, wsiadłem na rower i odjechałem ciemną ulicą.

Przez długie miesiące nie wracałem do domu. Rodzice przychodzili do mnie do liceum. Za każdym razem byli zatrzymywani przez czerwonogwardzistów. Matka przynosiła mi w koszyku czyste ubranie, jajka na twardo, papier listowy.

Chciała, żebym do niej pisał. Ale w jaki sposób opowiedzieć jej o moim nowym życiu?

Chodziłem od liceum do liceum, żeby podsycać żar rewolucji; wymieniałem myśli ze studentami. Uczestniczyłem w demonstracjach, w dyskusjach organizowanych przez komitet centralny rewolucji kulturalnej; małżonka Przewodniczącego przyjęła mnie w pawilonie Rybaka. Ta energiczna, tryskająca entuzjazmem kobieta dodawała nam odwagi i przekazywała pozdrowienia od Sternika. Walczyłem z tymi, którzy chcieli ośmieszyć wielkość naszej ideologii. Jakże mogłem przedstawić matce konieczność i chwałę użycia siły?

Z kilkoma towarzyszami z klasy, misjonarzami myśli maoistycznej, przemierzaliśmy Chiny w poszukiwaniu wielkich przygód. Pomędzy czerwogwardzistami nawiązywały się cudowne przyjaźnie. To płomień dobywający się z naszej wrażliwości, wyostrzonej przez wypadki, żarliwy zapal, pokrzepiający serca wędrownych żołnierzy.

Na wiosnę rodzice zostali wysłani do szkoły 7 Maja na reedukację. Pora była chłodna i posępna. Mroźny północny wiatr z Syberii, przewiewający stepy Mongolii, wiał też na moje miasto i zasypywał je piaskami zgarniętymi z pustyni. Przeszukałem wszystkie szkoły 7 Maja w okolicach Pekinu, aż w końcu odnalazłem rodziców. Po drugiej stronie drutów kolczastych matka kilofem kopała ziemię. Włosy miała krótko ostrzyżone i potargane. Jej kufajka była chyba za cienka jak na tak zimną porę. Pracowała z pilnością małej dziewczynki. Wyprostowała się, żeby zetrzeć pot z czoła. Wreszcie zauważyła mnie i wyciągnęła do mnie ramiona. Ale ja odwróciłem się plecami i uciekłem.

Nagle nastąpiło lato. Z dnia na dzień miasto wypełniło się głosami koników polnych, upałem, światłem. Rewolucyjne stronnictwa toczyły krwawą walkę. Interweniowało wojsko,

które przejęło kontrolę nad sytuacją. Na rozkaz premiera szkoły otworzyły swe podwoje, przywrócono naukę. Z wyjątkiem nauczycieli, którzy odbywali karę w obozach, wszyscy powrócili do pracy. Zdałem egzaminy, pomyślnie przeszedłem przez konkurs i dostałem się na Uniwersytet Pekijski. Na wydziale nikt się nie uczył. Chodziłem na spacer, zawierałem przyjaźnie, uczestniczyłem w dyskusjach. Ośrodek rewolucji zmienił miejsce. Pekin, pozbawiony już energii i wyobraźni popadał w ospałość.

Postanowiłem dołączyć do milionów studentów, którzy wyjeżdżali karczować ziemię w oddalonych regionach. Zgłosiłem się do biura repartycji czerwonogwardzistów na chińskiej wsi i unieważniłem w urzędzie meldunkowym moją kartę rezydenta w Pekinie.

Ta wiadomość zasmuciła rodziców, którzy nie rozumieli mnie i nigdy nie zrozumieją. Tyle że szkoła 7 Maja pozbawiła ich wszelkiego autorytetu. Bez jednego słowa pogodzili się z moim wyjazdem.

Pierwszego grudnia na stadionie w Pekinie odbył się mityng, który zgromadził dziesięć tysięcy osób. Pośrodku rozległego trawnika tysiąc studentów żegnało się z rodzinnym miastem. Oklaskiwano nas; małe upudrowane dziewczynki, z kokardami na końcu warkoczy, opadły nas jak radosne gołębie. Powkładały nam purpurowe kwiatki do dziurek od guzików.

Po południu dotarliśmy na dworzec. Pociąg pękał w szwach, trudno było wsiąść do wagonu, gdzie czerwonogwardziści byli stłoczeni jak bydło. Wspiąłem się na ramiona kolegi i wszedłem przez okno. Ławki były już zajęte przez dziewczęta. Moje wejście rozbawiło je. Zaproponowały, że mi pomogą. Wciągałem za ramiona moich towarzyszy, a dziewczyny przenosiły ich nad głowami. Potem ścieśniły walizki i dwóch z nas mogło wdrapać się na półkę bagażową.

W końcu pociąg ruszył.

Stałem pomiędzy ludzkim murem a plecami kolegi. Ponad jego ramieniem, między migającymi latarniami, oglądałem zimowy pejzaż, rozpościerający się za oknem. Rewolucyjne śpiewy i recytowanie poematów Przewodniczącego już nas wyczerpały. Uspokojony kołysaniem pociągu zapadłem w lekki sen, wypełniony niewyraźnymi obrazami i niezrozumiałymi dialogami.

Nagle usłyszałem głos:

- Przepraszam.

Otworzyłem oko i ujrzałem dziewczynę o bladej twarzy, wciśniętą w sam kąt. Od naszego wejścia ona jedna nic nie mówiła, nie śmiała się.

- Przepraszam - powtórzyła i próbowała podnieść się z miejsca.

Byliśmy tak stłoczeni, jeden obok drugiego, że tworzyliśmy niemal Wielki Mur: nie było sposobu, żeby zrobić jej miejsce do przejścia!

Moje uprzedzenie do dziewcząt, głupich i rozkapryszonych, znowu doszło do głosu. W odpowiedzi na jej prośbę zamknąłem oko.

- Przepraszam - powiedziała jeszcze raz. Nikt się nie ruszył.

- Przepraszam - powtórzyła, podnosząc drżący głos, tak jakby za chwilę miała się rozpłakać. - Przepraszam, chciałabym pójść do toalety.

Po łagodnym, krystalicznym głosie poznałem dziewczynę, która wygłosiła długie przemówienie w dzień demonstracji. Otworzyłem oczy.

Strużka łez lśniła na jej policzkach. Obudziłem skulonego kolegę i odsunąłem go. Podałem rękę dziewczynie, pomogłem jej wstać.

Dojście do toalety, która znajdowała się na końcu wagonu, zajęło nam prawie godzinę. Jako mistrz pływacki

- mistrzostwo wywalczyłem na zawodach regionalnych

- płynąłem przez tłum, ciągnąc dziewczynę jak boję.

Kiedy wyszła z kabiny prosto w czarny, kłębiący się tłum, zabrakło nam odwagi, by wracać na miejsca. Oparliśmy się o drzwi toalety i zasnęliśmy na stojąco.

Po południu następnego dnia dojechaliśmy do miasta Meilin, tam opanowaliśmy dworzec, który natychmiast wydał się za ciasny. Zieleniły się drzewa. Lekko mżyło. Na początku zachwycaliśmy się klimatem, którego łagodność kontrastowała z pekińską ostrością. Lecz wkrótce wilgotny chłód wniknął pod nasze już wilgotne palta. Studenci stali w kolejce przed punktem informacyjnym. Nasza grupa czekała aż do zmierzchu. Przyjęli nas dwaj czerwonogwardziści, zapisali nasze nazwiska na kartce, po czym poprosili, żebyśmy cierpliwie poczekali. Kiedy doliczyli się pięćdziesięciu osób na liście, kazali nam wsiąść do dwóch ciężarówek, które przewiozły nas do centrum miasta. Tej nocy spaliśmy w Teatrze Ludowym, zamienionym na sypialnię. W holu, na scenie i na korytarzach porozkładane były sienniki. Żołnierze rozdali nam cienkie koce.

Poprzedniego dnia padał deszcz. Woda deszczowa kapiała przez szpary w dachu, tworząc tu i ówdzie kałuże. Kiedy przechodziliśmy z miejsca na miejsce, buty zostawiały czarne ślady. W powietrzu unosił się zimny zapach tytoniu, błota, uryny i rdzy. Trząsałem się, leżąc na moim pościeli. Nie mogłem zasnąć, na próżno starałem się uspokoić myśli, które galopowały jak nieujezdżony koń. Myślałem o rodzicach, o moim pokoju, o ciepłym jedzeniu przygotowanym przez matkę. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że mi ich brak. Przypomniałem sobie także o owej dziewczynie, której elokwencję tak bardzo podziwiałem w tłumie demonstrantów

rok temu, a którą ponownie spotkałem w pociągu. Powiedziała, że studiuje literaturę klasyczną na Uniwersytecie Ludowym i że nazywa się Wierzba.

- Wierzba? - powtórzyłem ze śmiechem. - To imię pochodzi z poematu Wang Wei (Wang Wei (701 - 761): jeden z największych artystów czasu dynastii Tang, słynny malarz, poeta i muzyk. Ten pożegnalny poemat śpiewano w całym Chinach.):

W mieście Wei mży nieustannie,
Świeży pył jest leciutki
Oberża otoczona zielenią,
Wierzby odnawiają swą barwę,
Jeszcze szklaneczkę, przyjacielu, przed wyjściem
Na zachód, za bramę Słońca (Na zachód od bramy Słońca
leży kraj tatarski.),

Tam nie spotkasz już naszych.
Kiwała głową, zarumieniły jej się policzki.
Przekomarzałem się z nią:

- Towarzyszko Wierzbo, twoje imię to feudalny przeżytek: dlaczego go nie zmienisz?

Pochyliła głowę i powiedziała:

- Właśnie chciałam je zmienić. Chciałam nazwać się Topola. Ale zmiana dokumentów to bardzo skomplikowana rzecz. Zależało mi na wyjeździe na wieś, więc nie zdążyłam już się tym zająć.

Widząc, że jest jej przykro, pocieszałem ją:

- Tak też jest dobrze. Wierzba to bardziej oryginalne imię. Wpatrywałem się w sufit teatru i nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Doprawdy naiwność tej studentki jest zadziwiająca. Niestety, straciłem ją z oczu w tłumie, gdy wysiadaliśmy z pociągu.

Nazajutrz obudziły nas fanfary. Żołnierze przyszli wyciągnąć nas z łóżek i przez cały dzień tresowali nas na

placu przed teatrem. Nauczyliśmy się stać na baczność, robić zwrot w lewo i w prawo, maszerować w odpowiednim tempie. Wieczorem na dworzec przybyła następna grupa czerwonogwardzistów. Skorzystałem z zamieszania i wybrałem się na spacer po mieście. Ulice pogrążone były w ciemności. Czasami jakieś światło z górnego okna albo z żarówki wiszącej w bramie słabo rozjaśniało drzewo, chodnik, tablicę z dazibao, zawalony mur, fasadę podziurawioną od kul, klomb porośnięty chwastami.

Aleje były wąskie, a pomniki przewodniczącego Mao bez majestatu. Wszystko wydawało mi się smutno prowincjonalne. Spacerowiczów spotykałem rzadko, ale ciągle natykałem się na barykady, druty kolczaste, fosy, które miały służyć za okopy. Zatrzymała mnie grupa uzbrojonych czerwonogwardzistów, którzy pilnowali wejścia do jakiejś fabryki. Dokładnie mnie zrewidowali i zadawali pytania. Kiedy dowiedzieli się, że przyjechałem z Pekinu i brałem udział w pochodzie 8 sierpnia, ich nieufność rozproszyła się i zaczęli pytać o zdrowie Przewodniczącego.

Nadeszła pora kolacji. Poczęstowali mnie pierożkami. Na samym początku rewolucji kulturalnej, mówili, miasto podzielilo się na dwa obozy. Ich grupa nazywała się Czerwony Wschód, a ich wrogowie Czerwone Słońce. Zwolennicy Czerwonego Słońca zaatakowali mera miasta, którego Czerwony Wschód wziął pod ochronę. Ale ci dranie, bandyci, wichrzyciele, ci z Czerwonego Słońca, przygotowali koktajle Mołotowa, ukradli pałki, użyli karabinów i tasaków, napadli na merostwo i sztab Czerwonego Wschodu. Na gwałt odpowiadano gwałtem. Obydwa obozy zdobyły fabryki broni, zajęto szpitale, szkoły, manufaktury. Każdy przysięgał, że będzie bronił swego rewolucyjnego terytorium aż do śmierci.

- W Pekinie wojsko opanowało sytuację - szepnąłem. - Przewodniczący Mao...

- Przewodniczący ma złych doradców. Premier Czou Enlaj to czołowy rewizjonista kraju. On jest zdrajcą rewolucji, myśli maoistycznej. Tutaj oparliśmy się armii. Poddamy się dopiero wtedy, gdy wytepiemy tych z Czerwonego Słońca.

Jeden z chłopców dodał:

- Wiesz, straciliśmy ponad dwustu naszych. Ten dług może być zwrócony jedynie krwią.

Poradził mi, żebym nie wychodził w nocy, zaproponował, że odprowadzi mnie do samego teatru. Omijał aleje i większe ulice, prowadził mnie wąskimi uliczkami.

Przystanął i powiedział:

- Następna w prawo i wyjdiesz prosto na aleję Teatralną. Ja już dalej nie pójdę.

Uścisnąłem mu rękę i podziękowałem. Zamiast zawrócić, chłopak stał nieruchomo. Powiedział głosem zdradzającym wahanie:

- Mogę cię o coś poprosić?

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

- Zawsze marzyłem o tym, żeby pojechać do Pekinu i zobaczyć Przewodniczącego. Ale niedługo umrę i mój sen nigdy się nie urzeczywistni. To jest plakietka, którą nosiłem od chwili ukończenia jedenastego roku życia. Proszę cię, kiedy wrócisz do Pekinu i będziesz maszerował przed bramą Niebiańskiego Spokoju, przypnij ją do kurtki. Nawet gdy będę już martwy, zostanę przyjęty przez Przewodniczącego, a on dowie się, że nigdy go nie zdradziłem!

Wsunął mi do ręki mały przedmiot, który odpiął od bluzy mundurowej, zrobił w tył zwrot i zniknął w ciemnościach.

Przed wejściem do teatru, gdzie świeciła lampa, przypatrzyłem się tej rzeczy. To była mała prostokątna

plakietka. Na tle z białej emalii połyskiwała nazwa liceum i czerwona gwiazda.

Następnego dnia znowu odbywały się ćwiczenia. Co pewien czas z oddali słychać było strzały z broni automatycznej i niewyraźne głosy. Któregoś wieczoru zebraliśmy się w sali widowiskowej. Nasz komisarz polityczny wszedł na krzesło. Podzielił grupę czerwonogwardzistów na pięć jednostek po dwadzieścia osób każda, w tym dwie grupy samych dziewcząt, i wskazał pięciu żołnierzy, którzy prowadzili ćwiczenia, jako dowódców tych zastępów. zaproponował, abyśmy tymczasowo wybrali spośród nas zastępców dowódcy i komendanta pułku. Zostaliśmy tu zgromadzeni zupełnie przypadkowo, z wyjątkiem kilku towarzyszy, z którymi przyjechaliśmy z Pekinu, tak więc czerwonogwardziści nie znali się. Uzgodniliśmy, że na pewien czas na dowódców wybierzemy najstarszych.

Trzy dni później przyjechały po nas trzy ciężarówki wojskowe. Wiozły nas przez pół dnia, wysiedliśmy na skraju wioski. Ledwo odjechały, zjawiała się następna. Wysiadło z niej trzydzieści dziewcząt, dowodzonych przez żołnierza; zeskoczyły na ziemię. Rozległy się gromkie okrzyki na cześć takich posiłków. Wśród nowo przybyłych dostrzegłem Wierzbę.

Leżąca u stóp góry porośniętej bambusowym lasem wioska okazała się osadą dwunastu rodzin, które uprawiały kilkadziesiąt mu (Jeden mu to około 667 metrów kwadratowych.) ryżu. Nie chcieliśmy zakłócać ich spokoju, poszliśmy więc w ślady czerwonej armii w czasie Wielkiego Marszu i spaliśmy pod gołym niebem, pod daszkami. Następnego dnia z samego rana zabraliśmy się do wznoszenia naszych własnych szałasów.

Wieśniacy nauczyli nas ubijać ziemię zmieszaną z liśćmi, budować najprostsze szkielety i pokrywać dachy gałęziami bambusa. Z resztek ziemi z liśćmi lepiliśmy łóżka. Wojsko dało nam sienniki.

Zaczynało się toczyć zwykłe życie. Po kilku dniach była gotowa kuchnia na pięć fajerek, na której gotowała się prosta strawa. Chcieliśmy po roku osiągnąć niezależność. Na razie jedliśmy ryż ofiarowany przez władze.

Ze wzruszeniem obchodziliśmy nadejście roku 1969. Bez alkoholu, bez mięsa, bez świeczek; rozpaliliśmy tylko ogniska przed szałasami. Jeden ze studentów przyniósł akordeon, zaczęliśmy śpiewać. Trzaskał ogień, jego ciepło wywołało tęsknotę i nadzieję. Przypominałem sobie spacer na ruinach pałacu Wiosny, długi okres zagubienia, kiedy szukałem właściwej drogi. Stwierdziłem, że po wyjeździe z Pekinu przestała mnie już nękać melancholia. Na wsi odnalazłem siebie, wtedy kiedy przestałem się już szukać.

Pierwszego stycznia postawiliśmy Przyrodzie ultimatum. Chcemy, żeby pozwoliła nam przekształcić nasłoneczniony stok góry w tarasowe pola ryżowe. Najpierw wykarczowaliśmy rozległy teren leśny, który posłużył nam za pas przeciwpożarowy, potem wypaliliśmy po kawałku las bambusowy.

Kiedy tu przyjechaliśmy, wierzchołek góry ginął we mgle. Po deszczu jej ciemna barwa zawsze robiła na nas wrażenie. Kiedy spędzaliśmy jeszcze noce pod gołym niebem, przyzwyczajeni do odgłosów miasta, drzenie bambusowych pędów, symfonia ostrych dźwięków, niskich, jasnych, głuchych, subtelnych i dzikich, długo nie pozwalała nam zasnąć. Chwilami zapadała cisza, ale tylko po to, byśmy lepiej mogli słyszeć wiatr ponawiający atak. Ledwo słyszalne szelesty, zwykły szmer źródelka stawały się wyraźniejsze w miarę, jak wiatr przenikał las. Były coraz głośniejsze, tak jak

tętent stada stu koni, potem dwustu, trzystu. I nagle, pomruk ziemi, łoskot potoków, huk fal uderzających o skały.

Pożar trwał wiele dni. Słuchaliśmy prognoz meteorologicznych, wiedzieliśmy więc, że w tych dniach wiatr osłabnie; słupy czarnego dymu wznosiły się prosto w niebo. Z wioski widać było ogień: mruczący potwór, który huczał, podrygiwał, wyginał się, pędził jak wichur.

W naszym obozie prawie wcale nie rozmawialiśmy. Niekiedy wybuchały nerwowe śmiechy. Niepokoiła nas siła płomieni. Wieśniaczki chciały pójść do niewielkiej świątyni na drugim końcu osady i zapalić kadzidełka bogu Ziemi. Zatrzymaliśmy je, tłumacząc, że takie praktyki to feudalne zabobony. W przeszłości brakowało ludowi światła Nauki; Niebo i panowie Ziemi trzymali go w strachu. Dzisiaj, dzięki partii komunistycznej absolutny władca nowego świata, Lud, rządzi Niebem i Ziemią! Tego samego dnia rozbiliśmy glinianego bożka i rozsypaliśmy jego kawałki.

Po pożarze poskromiona góra przedstawiała żalospny widok. Jednak nie pozwoliliśmy jej popaść w smutek. W zgłiszcza powbijaliśmy czerwone sztandary i ruszyliśmy do boju.

Bambus to uparta roślina, jej korzenie, mimo że zapuszczane niezbyt głęboko, potrafią rozciągać się na dużej przestrzeni. Motykami i graczami rozkopywaliśmy każdy skrawek spalonej ziemi, żeby wyciągnąć z niej te korzenie.

Wierzba była delikatna jak jedwab. Po kilku dniach jej opuchnięte ręce nie mogły nawet dźwignąć motyki. Z uporem jednak usiłowała zwykłą łopatą wydobywać spod ziemi bambusowe korzenie. W styczniu nocą panował mróz. W dzień mgła opadała na wilgotną ziemię jak żelazna zasłona. Nasze policzki były spierzchnięte, ręce poczerwieniały, krew sączyła się z popękanej skóry. Często widziałem, jak Wierzba chucha w ręce i rozciera je, jedną o drugą. Przygryzała wargi i

kopała dalej. Kiedy skończyłem moją działkę, pomagałem jej. Najpierw wzbraniała się z dumą, w końcu ustępowała. Któregoś dnia zaskoczyłem ją pracującą po zapadnięciu zmroku. Obóz był pusty. Słyszałem odgłos jej łopaty uderzającej w skiby ziemi stwardniałej od mrozu.

Spytałem, dlaczego dalej pracuje, skoro koledzy poszli już na kolację. Mój głos zaskoczył ją, zadrżała. Po dłuższym milczeniu zaczęła szlochać.

Przytłumionym głosem wyznała, że od dawna wstydzi się swojej opieszałości i słabości. Ma poczucie winy, gdy inni, w jeden dzień, robią dwa razy tyle co ona.

- Te ręce - powiedziała z rozpaczą, podnosząc je do twarzy - do niczego się nie nadają. Nigdy nie stanę się wieśniaczką, nigdy nie stanę na wysokości rewolucyjnych zadań.

Pocieszałem ją. Nasza rewolucja to rewolucja serca. Nie jest ściśle uzależniona od rezultatów naszej działalności. Kiedy nasz drogi Przewodniczący rzucił hasło reedukacji na wsi, miał na myśli zmianę mentalności, pozbycie się burżuazyjnego myślenia i intelektualnych pretensji.

Wierzba długo płakała. Opowiedziała mi, że urodziła się w rodzinie wysokiej rangi wojskowych, że była rozpieszczana przez rodziców. Wyrosła w otoczeniu szofera, niani, pielęgniarki, kucharki, pokojówki i osobistej ochrony; całą swą energię wkładała w naukę. Ojciec zabronił jej wyjazdu na wieś. Znalazł dla niej miejsce w wydziale propagandy w swojej jednostce. Zbuntowała się przeciw przywilejom, uciekła z domu przekonana, że surowość wiejskiego życia i praca fizyczna ją wzmocnią.

„Rodzice zmarnowali mi życie”, powtarzała z goryczą.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Płacz tej dziewczyny poruszał mnie i wprowadzał w zakłopotanie. Niemniej zdołałem ją skłonić do powrotu do obozu. Gdy zbliżaliśmy się do

wioski, otarła łzy i kazała mi przysiąc, że nikomu nie zdradzę jej pochodzenia.

Wierzba, choć starsza ode mnie o osiem miesięcy, była już na pierwszym roku studiów na uniwersytecie ludowym. Wyjątkowo uzdolniona, po czterech latach nauki ukończyła szkołę średnią.

Znała na pamięć setki dawnych tekstów. Na moje żarty odpowiadała długimi recytacjami, a potem razem krytykowaliśmy feudalny charakter owych ksiąg.

Wreszcie nadeszła wiosna. Ożywczy wietrzyk otwierał pomarańczowe korony kwiatów rododendronów. Zmieniliśmy kierunek wielu źródeł, żeby nawodnić nasze ryżowisko. Na wszystkich tarasach po kolei spokojne wody odzwierciedlały błękit nieba.

Rozpoczęło się sadzenie.

Dla dodania sobie bodźca organizowaliśmy zawody. Stawałem zawsze na czele mojej drużyny, Wierzba natomiast przeważnie była na końcu swojej. Płakała w ukryciu, a ja ją pocieszałem i pokrzepiałem. Teraz już potrafiłem opowiadać jej jakieś śmieszne historie. Śmiała się ze łzami w oczach i o wszystkim zapominała. Wyglądała lepiej niż w zimie. Zaróżowiły jej się policzki; twarz nabrała pełniejszych kształtów pomimo ciężkich warunków życia.

W porze odpoczynku studentki zabierały odzież studentów i prały ją w zimnej stojącej wodzie. To stało się już zwyczajem. W podzięce naprawialiśmy im dachy albo poprawialiśmy sienniki. Wierzba brała ode mnie ubrania, potem odkładała je na moje łóżko. Wszystkie rozdarcia były zaszyte, dziury połatane niewprawną ręką. Nowe guziki pojawiały się na miejscu starych.

Wkrótce w radosnych promieniach słońca urosły sadzonki, zbocze góry pokryło się woalem zielonego muślinu. Któż

mógłby przypuszczać, że jeszcze wczoraj była tu wypalona ziemia!

Ugór wokół obozu przekształciliśmy w ogród warzywny. Wzeszła fasola, pomidory, bakłażany, ziemniaki, marchewka, ogórki i kapusta. Naczelnik wioski dał nam dwa kurczaki i od razu zaczęliśmy wyobrażać sobie bogactwa naszego przyszłego kurnika.

Dzień po dniu osada zmieniała się nie do poznania. Wyłaniały się pasma kolorów; drzewa były coraz bardziej rozłożyste; światło zmieniło wygląd domów; blask wody na ryżowisku był nieco łagodniejszy. Zaczęli się pokazywać inni mieszkańcy, dotychczas zupełnie niewidoczni. Brzęczały pszczoły, muchy i ważki harcowały w powietrzu, biedronki i modliszki spały w słońcu.

W naszym obozowisku studentki i studenci połączyli się w pary zakochanych, nierozłączne jak drzewo bukowe i jego cień. My, to znaczy Wierzba i ja, żartowaliśmy sobie z tych tracących głowy kolegów. Byliśmy dumni z czystej przyjaźni, łączącej nas jak brata z siostrą.

Gdy minęła pora sadzenia, nareszcie mieliśmy czas na odpoczynek. Chodziliśmy na spacer w góry. Kręte ścieżki wprowadzały nas w tajemnice lasu.

W czasie ładnej pogody powietrze było suche. Przy głębokim oddechu drażniło nozdrza, czuć w nim było delikatny zapach zielonych listków.

Słońce migotało drobinkami złota na łądygach. Ziemia była pokryta gęstą warstwą liści szeleszczących pod nogami. Nad naszymi głowami ogromne bambusy tworzyły kopułę. Gałęzie ocierały się o siebie, gięły, wyprężały. Każdy poruszany wiatrem listek drżał w samotności.

Pewnego dnia, zabłąkani w lesie - zrobiliśmy to specjalnie, żądni nieprzewidzianego - trafiliśmy na zburzony dom. Zawalone ściany, stosy porzucanych kamieni. Dom

liczył kiedyś wiele pokoi. Jeden z nich został zajęty przez zbieraczy pędów bambusowych i myśliwych polujących na bazyliki. Naprawili dach, odmalowali ścianę, zamurowali okna i powiesili drucianą siatkę zamiast drzwi.

W środku panowała ciemność. W kącie piętrzyły się zwoje mat z witek bambusowych dla przybyszów zmuszonych do spędzenia tu nocy. Był też gliniany piec kuchenny, ceramiczny garnek, kilka obtuczonych miseczek i wiązka bambusa do rozpalenia ognia: w górach przed opuszczeniem szalasu po spędzonej w nim nocy trzeba przygotować go na przybycie tych, którzy zjawią się później.

Naszą uwagę przyciągnął stół i trzy taborety stojące przed wejściem. Warstwa ziemi i mchu na ich blatach była tak gruba, że urosła tam trawa. Wierzba zgarnęła suche liście. Wyrwała trawę i palcami zaczęła zdrapywać mech. Udało jej się odsłonić część stołu. Był z białego marmuru!

Usiedliśmy na taboretach. W powietrzu unosiła się wilgoć, czuć było nadchodzącą burzę.

Wierzba nagle spytała w zamyśleniu:

- Słyszysz to drżenie bambusów? Szumią w języku, który kiedyś znałam. Ale dlaczego już go nie pamiętam?

- Ptak o barwnym upierzeniu wzleciał w górę.

- Czy ja majaczę? Już kiedyś słyszałam taki łopot skrzydeł - powiedziała.

- Jej rozmarzenie przerażało mnie, przerwałem jej.

- Jak nazwać ten dom? Co sądzisz o „Bambusowej ruinie”?

- Nazwałabym go raczej „Przeszłe życie” - odrzekła.

- Dlaczego? Z jakiego to wiersza?

- Z żadnego.

Wydawała mi się beznadziejnie smutna, zamilkłem. Moje milczenie wprowadziło ją w zakłopotanie, przez długą chwilę na mnie patrzyła, w końcu powiedziała:

- Poprosiłam, abys ze mną tu przyszedł, bo chciałam ci coś powiedzieć... - przerwała. Nalegałem, żeby mówiła dalej.

Wpatrywała się we mnie. Nagłe dwie strugi łez trysnęły z jej oczu i potoczyły się po policzkach. Szepnęła:

- Nie będę mogła już grać na fortepianie! Spytałem dlaczego.

Rozszlochała się z podwójną siłą. Pokazała mi ręce z zaczerwienionymi palcami, opuchniętymi stawami.

Rozpoznałem objawy stanu zapalnego na tle reumatycznym.

- Boli cię to? Szlochała coraz bardziej.

Wziąłem jej dłonie w moje ręce. Przypomniałem sobie, że przez całą zimę kopała ziemię łopata. Prała moje ubranie, gdy woda na ryżowisku, na początku wiosny, musiała być lodowata!

Wstrząsana kolejnymi szlochami powiedziała, że zaczęła uczyć się gry na fortepianie w wieku sześciu lat. Gdy miała lat piętnaście, mogła wybierać: albo konserwatorium, albo uniwersytet. Woląla jednak najpierw studiować na uniwersytecie, a potem zostać pianistką.

- Nie powinnam narzekać na mój los. Być pianistą to burżuazyjne, rewizjonistyczne dążenie. Ale sam rozumiesz, od dziecka o tym marzyłam! To ponad trzy tysiące godzin ćwiczenia.

Zwierzenia Wierzby rozdarły mi serce. Pochodziłem z lekarskiej rodziny, znałem więc ból i powikłania jej choroby. Jednak powiedziałem:

- Wierzbo, weź się w garść, jesteś żołnierzem.

Poprzysiągłem sobie, że wyleczę Wierzbę. W dni wolne od pracy przemierzałem wioskę, żeby zdobyć dla niej truskawki, maliny i inne wczesnoletnie owoce, bogate w witaminę C. Pamiętałem strzępy rozmów moich rodziców,

przynosiłem jej także liście truskawki i przygotowywałem napary.

Nadeszła pora żniw, żołnierze nas opuścili. Spośród studentów wybraliśmy nowego przywódcę. Zostałem mianowany komendantem jednostki.

Wykorzystywałem moją władzę, aby umożliwić Wierzbie pozostanie w obozie; skierowałem ją do pracy w kuchni. Buntowała się i przychodziła na ryżowisko, kiedy nie była w kuchni bardzo potrzebna.

Zaraz po zbiorze ryżu zaczęło się następne sadzenie.

W lipcu niebo zasnuły chmury czarne jak stalowa blacha, zaczęły się ulewy. Aby uratować pole ryżowe, pilnowaliśmy na zmianę grobli, wybijaliśmy wyłomy, żeby woda mogła swobodnie spływać. Ziemia rozmiękała od deszczu. Zbocze osuwało się, błoto zalewało ryżowisko. Dwa lub trzy razy w nocy wyrywał mnie ze snu wartownik walący w gong. Wkładałem pelerynę z bambusowych liści i ruszałem w ociekającą wodą ciemność. Latarka oświetlała czarne błoto, kałuże, zwiedłe liście. Nagle dolatywał mnie dźwięk gongu, dwa, potem trzy, cztery, dzwoniącego na alarm. To góra groziła obsunięciem!

Pewnego dnia deszcz zaczął słabnąć. Mżyło. Stałem na ryżowisku i patrzyłem na tarasy tworzące gigantyczne schody, po których wstępowały kłęby białych chmur. Przypominałem sobie moje ambicje, gdy została zakończona praca przy formowaniu pola ryżowego: wydawało mi się, że okiełznałem naturę.

A teraz zupełnie inny pejzaż rozciągał się przed moimi oczami. Góra nasiąknięta wodą, niezmierna kurtyna deszczu, bezkresne niebo. Bezbronna istota ludzka, bardzo mała, śmieszna - i ja należę do tego plemienia.

Nadeszła jesień. Słońce naprawiło szkody wyrządzone przez deszcz i zgotowało nam piękne plony.

Komitet rewolucyjny miasta Meilin przysłał do nas delegację. Myślałem, że chcą skontrolować naszą pracę. Ale sześciu członków delegacji odmówiło noclegu, który im zaproponowaliśmy, woleli bowiem spać u mieszkańców wioski. Naczelnik, pod wrażeniem ich rangi, natychmiast ich przyjął.

Następnego dnia rano zebrali stu trzydziestu studentów u stóp góry, na polance, na której zwykle odbywały się nasze zebrania. Jak na prawdziwych wieśniaków przystało, wielu z nas przyszło z kosami w ręku i z ręcznikami na głowie. Należałem do ścisłego kierownictwa, byłem więc wściekły, że delegacja ukryła przed nami cel swojej wizyty i nikt nie porozumiał się z nami przed mityngiem. Poszedłem tam jednak, tak jak wszyscy, i stanąłem na uboczu, żeby móc lepiej obserwować.

Na czele delegacji stał młody, może dwudziestopięcioletni człowiek, średniego wzrostu, chudy. Spod wojskowej czapki wystawał mu kosmyk włosów. Za grubymi okularami sterczące brwi przysłaniały wyłupiaste oczy. Wąskie, nieco kobiece usta zdradzały duże napięcie wewnętrzne. Wszedł na skałę, przez chwilę milczał, żeby skupić na sobie naszą uwagę, po czym przemówił, opierając zaciśniętą pięść na biodrze:

- Towarzysze, żołnierze i czerwonogwardziści, wysłannicy komitetu rewolucyjnego miasta Meilin, przywożę wam wielką nowinę! Czerwony Wschód, kontrrewolucyjne ugrupowanie nareszcie zostało rozgromione przez zwycięską armię ludową!

Rozległ się szmer. Po odjeździe żołnierzy dochodziły już do nas takie pogłoski. Mówiono, że klan rewolucyjny Czerwone Słońce sprzymierzył się z wojskiem. Ścigani członkowie Czerwonego Wschodu woleli wycofać się na teren uniwersytetu w mieście Meilin. Słyszeliśmy też, że oblężenie

trwało prawie dwadzieścia dni a po wyczerpaniu zapasów amunicji i żywności członkowie Czerwonego Wschodu połknęli arszenik i zostawili dla wojska salę pełną trupów. Od tego czasu panowało Czerwone Słońce.

- Zniszczone zostało samo jądro ugrupowania kontrrewolucyjnego - ciągnął młodzieniec. - Jednak sympatycy Czerwonego Wschodu ukrywają się jeszcze wśród studentów, którzy swą edukację kontynuują na wsi. Usiłują zmylić naszą czujność i dokonywać sabotażu w łonie naszego ruchu rewolucyjnego.

Machnął ręką i krzyknął:

- Niech żyje rewolucja kulturalna! Niech żyje przewodniczący Mao Zedong! Niech żyje myśl maoistyczna!

Slogany zostały podchwyczone przez około setkę głosów całkowicie pozbawionych energii. Po dziesięciu miesiącach reedukacji, ciężkich prac polowych, liczeniu ziarenek ryżu, popadliśmy w odrętwienie, które jest największym wrogiem entuzjazmu.

Inni członkowie delegacji stali u stóp skały. Młodzi, czyści, w wojskowych uniformach, ze skórzanymi paskami, uzbrojeni w pistolety, mieli w sobie tę wspaniałą butę, jaką ja także okazywałem, gdy przemierzałem Pekin wraz z rewolucyjnymi oddziałami robiącymi obławę na zwolenników rewizjonizmu. Przy tych prawdziwych panach, my - w łachmanach, ze zgarbionymi plecami, ogorzałymi twarzami, zgrubiałymi rękami, spojrzeniem bez żadnego wyrazu - wyglądaliśmy jak ich chłopci pańszczyźniani.

Delegat zdenerwował się. Stwierdził, że brak nam dynamizmu. Aby nas pobudzić, zaproponował natychmiastowe przekształcenie tego zebrania motywacyjnego w zebranie denuncjacyjne. Z bezsilnością patrzyłem, jak słońce sięga zenitu. Ryż, ociężały jak brzemienna kobieta, czekał na nas w górach.

Podniosłem głos, żeby usłyszano mnie na szczycie skały:

- Czy można by przenieść godzinę denuncjacji na wieczór? Czeka nas zbiór ryżu. O tej porze roku cenna jest każda minuta dnia.

Moja propozycja została przyjęta przez studentów. Tłum zaczął się rozpraszać. Delegat zmierzył mnie wzrokiem:

- Zebranie jest zamknięte - powiedział z rozdrażnieniem. Następne odbędzie się dzisiaj wieczorem o ósmej, w kantynie.

Delegacja zarekwirowała pokój u jednego z wieśniaków, gdzie urządziła sobie biuro. Po kolei wzywano na rozmowę wszystkich stu trzydziestu pionierów. Ta metodyczna inspekcja zakłóciła tok naszej pracy. Pole ryżowe stało się agorą, na której wymienialiśmy informacje. Mówiono, że delegaci o to dawni gwardziści Czerwonego Słońca i że noszą w sobie uporczywą nienawiść i obsesyjny strach.

Zostałem wezwany jako pierwszy; jak najuczciwiej złożyłem sprawozdanie. Nasz oddział składał się głównie ze studentów przybyłych z Pekinu. Po przyjeździe do Meilin w Teatrze Ludowym zostaliśmy podzieleni na grupy. Osiedliśmy u stóp gór i z braku transportu jesteśmy niemal całkiem odizolowani od świata. Czy w tych warunkach bylibyśmy w stanie nawiązać kontakt z Czerwonym Wschodem i wmieszać się w konflikt, który podzielił miasto Meilin? Delegacja nie naciskała. Jej przewodniczący palił papierosa za papierosem i obserwował całą scenę zza ciemnych okularów. Nie odezwał się ani słowem. Kiedy wychodziłem z biura, odprowadził mnie wzrokiem aż do drzwi, po czym uklonił się chłodno.

Starałem się uspokoić kolegów. Uważałem, że takie przesłuchanie było zwykłą formalnością i że delegacja zaraz pojedzie do innej osady. Najwięksi pesymiści mówili, że nie wyjedzie, dopóki nie znajdzie wśród nas kozła ofiarnego.

Gruby Zhang, którego rodzice pochodzą z Meilin, został wezwany do biura po raz drugi. Po wyjściu wydawał się jakiś

zmieniony, nikt nie mógł z niego wydobyć choć słowa wyjaśnienia na temat tego, co się działo w biurze. Dzieliłem z nim szalę, znałem jego bojaźliwą naturę, miałem więc pewność, że jest niewinny, i byłem gotów stanąć w jego obronie, gdy pewnego dnia członkowie delegacji przyszli na ryżowisko, żeby mnie zatrzymać.

Założyli mi na przeguby kajdanki i poprowadzili do wioski. Ich przywódca, z nieodłącznym papierosem w kącie ust, czekał na mnie za biurkiem.

Usiadłem na krześle i spokojnym tonem zapytałem o powód zatrzymania. Uśmiechnął się, wyjął zeszyt. Poderwałem się z miejsca: trzymał w rękach mój dziennik.

Zaczął się przesłuchanie. Delegacja oskarżyła mnie o to, że jako członek Czerwonego Wschodu brałem udział w spisku mającym na celu obalenie partii komunistycznej i Przewodniczącego. Ich dowody to: zeszyt, w którym opisałem moje spotkanie z młodym członkiem Czerwonego Wschodu; plakietka liceum Czerwonej Gwiazdy.

Nie mogłem pozwolić, aby ciskano na mnie takie oszczerstwa. Z oburzeniem odpowiedziałem, że zawsze postępowałem jak wierny bojownik rewolucji kulturalnej. Wyprowadziło ich to z równowagi. Zawinęli rękawy i odpięli pasy.

Na ich ciosy odpowiadałem przekleństwami. Kiedy byłem młodszy, zastanawiałem się z trwogą, czy jako dobry komunista będę w stanie znieść tortury i nie zdradzić. Teraz przekonanie o mojej niewinności zrodziło we mnie siłę do walki z niesprawiedliwością.

O świcie delegaci zamknęli mnie w świątyni, którą zamienili na więzienie. Doczołgałem się do ołtarza, z którego wyrwano figury bogów. Leżały tam podarte poduszki, na których kiedyś klęczeli wyznawcy. Było mi wszystko jedno, położyłem się.

Drżałem na całym ciele, nie mogłem zasnąć. Słońce wpadało przez małe okienko znajdujące się dwa metry nad ziemią, rozjaśniało przestrzeń nad ołtarzem. Patrzyłem jak drobinki kurzu wirują w wąskiej smudze światła.

Kto ujawnił delegatom istnienie mojego intymnego dziennika? Kto mnie zdradził? Czy to gruby Zhang sprzedał mnie, żeby jakoś wybrnąć z trudnej sytuacji? Czy może Hui, który pewnego dnia wstał wcześniej niż zwykle i zobaczył, że piszę dziennik?

Kto mnie szpiegował? Kto chodził za mną w miejsca, gdzie ukrywałem ten zeszyt? Czy to Li, ten ciekawski plotkarz? A może Fan, którego kiedyś zwymyślałem, bo pożyczył sobie moją motykę bez pytania? Może naczelnik osady? Nie, to niemożliwe. Jest analfabeta, nie mógłby odczytać pisma. Chyba że któregoś wieczoru, po pijanemu, sam mu się zwierzyłem?

Następnego dnia po południu zostałem obudzony kopniakami i zawleczony poza wioskę. Obok skały postawiono estradę; ponad nią wznosiło się tarasowo usytuowane pole ryżowe. Czerwone sztandary łopotały na wietrze po obu stronach trybuny, przydawały barwy burzliwemu pejzażowi. Na przodzie sceny zawieszony był szeroki purpurowy proporzec z napisem z białych liter: „Zebranie w sprawie potępienia kontrrewolucyjnego rewizjonisty Wena”.

Wielką ulgą było dla mnie wyjście z odosobnienia, gdzie dręczony myślą o nieznanym donosicielu miałem wrażenie, że popadam w obłąd. Wprowadzono mnie na scenę. Mimo że na szyi miałem zawieszony duży napis wymieniający moje zbrodnie, zdołałem unieść głowę i jednym rzutem oka ogarnąć ryżowisko. Tarasy wyglądały jak popękane lustra, położone jedno nad drugim. Chmury rzucały na górę czarny odbłask. Smuga mgły kładła się na bambusowy lasek.

Zebranie zaczęło się od odczytania maksym Przewodniczącego. Potem szef delegacji potępił „utrąę czujności i rozprzężenie moralne wśród członków Czerwonej Gwardii”.

Miałem ręce związane z tyłu; popchnięto mnie na przód sceny, gdzie zostałem zmuszony do pochylenia się aż do ziemi, przodem do publiczności. Klasyczna inscenizacja. W liceum przygotowywałem dziesiątki tego rodzaju przedstawień, tu jednak doświadczałem czegoś zupełnie nowego: sam odgrywałem rolę skazańca.

Napis, który wisiał na cienkim drucie, wpijał mi się w szyję. Miałem obolałe plecy, piekły mnie stopy, czułem darcie w mięśniach, pękała mi głowa. W czasie przemówienia chciałem obserwować reakcję moich kolegów. Czy są oburzeni, czy może obojętni? W głębi duszy byłem przekonany, że ci, z którymi dzieliłem trud, stawiałem czoło zawieruchom i budowałem nowe życie, zbuntują się przeciw delegatom. Pod ich presją zostaną uniewinniony. Ale przy najmniejszym ruchu moi prześladowcy okładali mnie ciosami pięści. Musiałem ograniczyć się do oglądania czubków własnych butów.

Po wygłoszeniu kilku sloganów i odśpiewaniu rewolucyjnych pieśni, ktoś wszedł na scenę i wtedy rozpoznałem głos grubego Zhanga. Zaczął wylewać swe żale: usiłowałem wtłoczyć mu do głowy rewizjonistyczne myśli, kpiąc z wiejskich zwyczajów; mówiłem, że trzeba czytać i pisać, żeby nie popaść w głupotę; dla spokoju sumienia przekartkował niektóre fragmenty mojego dziennika i to go zaszokowało.

- Dla Wena - powiedział niepewnym głosem, tak jakby czytał - reedukacja na wsi jest kamuflażem, okazją do przeniknięcia do grupy pionierów po to, by rozsiewać truciznę negatywnego myślenia.

Według niego po przyjeździe do Meilin wszedłem w kontakt z członkami kontrrewolucyjnego ugrupowania Czerwony Wschód i natychmiast nawiązało się między nami porozumienie. Wymieniliśmy znaki rozpoznawcze, czyli tarcze z nazwą liceum. Moja misja miała polegać na rozwinięciu siatki kontrrewolucyjnej na wsi.

Gruby Zhang przerwał, bo z mojego gardła dobyło się rżenie.

- Kłamca! Łotr! Zapłacisz za to oszczerstwo... Spadł na mnie grad ciosów pięści, słowa uwięzły mi w gardle. Ktoś wszedł na miejsce Zhanga, rozpoznałem głos Hui. Donosiła o mojej złej woli w stosunku do kolegów. Kiedyś ciężko zachorowała, a ja zmusiłem ją, żeby poszła do pracy w polu.

- Leniuch! Suka! - wypowiedziałem słowa, które wywołały następną serię razów pasem. Upadłem. Podniesiono mnie. Na scenę wszedł Li i mówił o niepowodzeniu mojego sabotażu. Połamałem motyki, żeby koledzy nie mogli pracować; wykorzystałem lipcową ulewę, żeby przerwać groble i zalać pole ryżowe.

- Oszczerstwo! Potwarz!

Moje protesty zagłuszył slogan zaintonowany przez szefa delegacji, podchwycony przez tłum:

- Precz z kontrrewolucjonistą Wenem! Precz ze zdrajcą rewolucji kulturalnej! Niech żyje myśl maoistyczna!

Ktoś napluł mi w twarz i oskarżył o to, że nadużyłem zaufania studentów, którzy mnie wybrali. Potwierdził, że byłem wrogo nastawiony do delegacji, że rozpowszechniałem na jej temat nikczemne kłamstwa.

Po kolei wchodzili na scenę. Nie mogłem już nikogo zwymyślać, bo zmuszono mnie do milczenia, kneblując usta skarpetką. Przekonałem się, że szczegóły z codziennego życia mogą posłużyć za podstawę wszelkich oszczerstw. Odkryłem,

że nienawidzili mnie ci, których uważałem za przyjaciół, którzy jeszcze wczoraj się do mnie uśmiechali. To ostatnie rozczarowanie, bardziej smagające niż wszystkie ciosy, złamało mnie.

W megafonie rozległ się głos szefa delegacji:

- Towarzyszko Wierzbo, mieliście odwagę ujawnić kontrrewolucjonistę, wskazaliście miejsce, w którym ukrywał swój dziennik, dowód rzeczowy w tej sprawie, czy nie macie nic do powiedzenia tu zgromadzonym?

Krew ścięła mi się w żyłach. Zebrałem ostatnie siły i uniosłem głowę. W tłumie dostrzegłem Wierzbę.

Posłałem jej tak nienawistne spojrzenie, że aż zaboląły mnie oczy. Nagle poczułem uderzenie pasem w głowę, zaczęło mi huczeć w skroniach i upadłem zemdlony.

Bardzo smutna była noc, która nastąpiła po tym napiętnowaniu. Przez okienko patrzyłem na księżyc, uśmiechał się do mnie tajemniczo. Co o mnie myślisz? Co myślisz o tym naszym świecie, na który posyłasz swoje srebrzyste światło? Oderwany od naszego ziemskiego życia, oglądasz je z góry; czy dostrzegasz los każdej z istot? Ty, który widziałeś dawnych bohaterów, dynastie, cesarzy, kurtyzany, poetów, który będziesz rozświetlał nasz świat wtedy, gdy nas już tu nie będzie, czy widzisz moją przyszłość?

Milczący księżyc przesunął się coraz dalej, aż zniknął z mojego okna.

Nazajutrz przesłuchanie i tortury zaczęły się na nowo. Byłem zmęczony i zrozpaczony, nie przyznawałem się do winy, wołałem umrzeć od ciosów. Czego mogłem się spodziewać, skoro życie jest jedynie upokorzeniem i zdradą? Niestety, moje ciało okazało się bardzo wytrzymałe. Siniaki, rany, krew sprawiały, że z zaciekłością trzymało się tej nędznej egzystencji.

W porze obiadu członkowie delegacji zaprowadzili mnie do świątyni. Związali mnie i poszli do stołówki. Gdy tylko odeszli, usłyszałem cichutki szloch. Powłócząc nogami zeszywniałymi z bólu, podszedłem do okna i spytałem, kto tam płacze.

- To ja - odpowiedziała Wierzba.

- Idź sobie! Nie chcę cię już widzieć, idź stąd. Zostaw mnie w spokoju.

- Wysłuchaj mnie, błagam! Przyszli do mnie i pytali, gdzie chowasz dziennik. Kiedyś wieczorem widziałam, jak wkładałeś coś do pnia wierzby płaczącej... Nie chciałam im powiedzieć... Ale mówili, że to bardzo ważne, że jesteś zamieszany w spisek kontrrewolucyjny. Nie uwierzyłam im. Pomyślałam, że dziennik zaświadczy o twojej niewinności... Jaka byłam głupia...

- Milcz! - krzyknąłem z całych sił.

Ścisnęło mi się serce na wspomnienie zaufania, jakim ją obdarzyłem, cudownych dni razem spędzanych. Z moich oczu trysnęły łzy. Załamał się głos:

- Po co tu przychodzisz z tym stekiem kłamstw? Wysłali cię, żebyś wyciągnęła ze mnie zeznania! Nic z tego, nic a nic! Idź stąd, powiedz tym panom, że to oni są kontrrewolucjonistami!

- Przepraszam - powiedziała, także krzyząc. - Proszę cię, Wen, przebac mi! To wszystko moja wina. Umieram z żalu!

Z wściekłością rzuciłem się na ścianę i krzyknąłem:

- Hipokrytka! Idź sobie! Nie jesteś już moją przyjaciółką! Zdradziłaś mnie! Idź stąd!

Moje krzyki zwabiły delegatów. Otworzyli drzwi, zakneblowali mnie. Padłem na ziemię, wyczerpany, bezsilny, pozbawiony wszelkiego wstydu, wszelkiej godności.

Na następne zebranie potępiające przyszło o wiele mniej osób. Chłopi wrócili na pola, zjawilo się tylko trzy czwarte

studentów. Gorączka opadła. Wytaczane przeciw mnie oskarżenia, monologi pozbawione wszelkiego dynamizmu i elokwencji nie wywoływały pożądanego efektu. Szef delegacji uderzył mnie pięścią w twarz, z nosa zaczęła lecieć krew. Nawet krew nie wywarła oczekiwanego wrażenia. Moi oprawcy tak jak i moi sędziowie byli zmęczeni.

Gdy wróciłem do świątyni, ból nieco zelżał. Położyłem się pod ołtarzem, jak zbity pies. Pajęczyny, ciemność i smród moich własnych nieczystości nie budziły już we mnie obrzydzenia. Zniknęła także złość i obsesyjne pragnienie zemsty, które kipiało we mnie od wielu dni. Zapadła cisza. Blask zmierzchu zanikał na horyzoncie. Wstawała noc. Uspokojony przerywanym bzycczeniem świerszczy, skulony w poczuciu prawie zadowolenia, właśnie zasypiałem, gdy ktoś zakradł się pod okno i zawołał mnie. Rozpoznałem głos, ale nie odpowiedziałem.

- Wiem, że tam jesteś - odezwała się Wierzba przytłumionym głosem. - Nie chcesz już ze mną rozmawiać. Trudno... Nie będzie mi to przebaczone. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Usłyszałem, że płacze.

- Wen, przyszłam, żeby przynieść ci ten balsam. Złagodzi ból twoich ran.

Coś uderzyło w kraty okienne i potoczyło się po bruku wewnątrz świątyni. Przez chwilę trwało milczenie. Myślałem, że już odeszła, ale nagle znowu się odezwała:

- Wen, śpisz? O czym rozmyślasz? Wczoraj poszłam na spacer do bambusowego lasu. Wspięłam się aż do zburzonego domku...

Jej szlochy obudziły stróża. Uciekła.

Księżyc wzniósł się do mojego okienka, stał przez chwilę rozmarzony, po czym zniknął. Patrzyłem na tę część nieba, którą rozświetlał swym blaskiem. Powoli pociemniała,

ukazały się na niej gwiazdy. Tej nocy nie zmrużyłem oka. Myślałem o rodzicach. Szczegóły przeszłego życia powracały do mnie z przytłaczającą wyrazistością: słyszałem skwierczenie jarzyn w oleju, szcęk garnków, wybuchające śmiechy, rowery, które dzwoniły pod oknem. To nadjeżdżali moi koledzy z klasy. Byłem szczęśliwy, spokojny. Zapadał zmierzch, rzucał swe purpurowe światło na szyby. Tak, to Nowy Rok! Wybuchaly petardy, rozlegał się gwizd sztucznych ogni. Wszyscy przygotowywali pierożki. Matka, tuż przy mnie, pachniała mydłem o nazwie Niebiańska Świątynia.

Szum wiatru i szmer bambusów przywołały mnie do rzeczywistości. Zadrzałem. Myśli nagle stały się przenikliwe, jak jeszcze nigdy dotąd.

Mojej miastowej egzystencji brakowało kontaktu z ziemią. Jadałem ryż, nie wiedząc, skąd się wziął ani ile wysiłku kosztował. Moje życie było maleńkim zamkiem wzniesionym na niewidocznej pracy milionów ludzi. Chciałem dotknąć rzeczywistości, rzuciłem się więc w wir rewolucji kulturalnej, która kazała mi cierpieć z zimna, upału, ciężkiej pracy, która wtrąciła mnie do więzienia, by wypróbować moją odporność i złamać dumę. Wydarzenia tego jednego roku całkiem zmieniły bieg mego losu, przeniosły mnie na nieznane ziemie. Wczoraj porucznik rewolucji, dzisiaj więzień - pilno mi było poznać przyszłe miejsce mego przeznaczenia. Jutro - świat przecież otworzył podwoje - będę podążał dalej. Zajdę daleko, bardzo daleko.

Moje życie jest samotną podróżą! Ale bagaż jest ciężki od tęsknoty!

Wstałem z posłania i podniosłem małe pudełeczko, które Wierzba wrzuciła przez okno. Oglądałem je, wzdychając.

Najwyższy już czas, aby oderwać się od wszystkich tych przyjacielskich dusz i wyjechać. Sam.

Następnego dnia, po zebraniu potępiającym, delegacja postanowiła wyjechać. Zabrali ze sobą ofiarę ich dochodzenia.

Studenci zgromadzili się, żeby patrzeć, jak wychodzę z więzienia. Z podniesioną głową i rękami związanymi z tyłu przypatrywałem się ich twarzom. Spuszczali oczy, żeby nie napotkać mego spojrzenia. Szukałem wzrokiem Wierzby, ale jej nie dostrzegłem.

Wrzucono mnie do ciężarówki, która jechała bardzo długo. Członkowie delegacji wysiedli, pilnowało mnie tylko dwóch czerwonogwardzistów. Wciśnięty w kąt, z rozkoszą wsłuchiwałem się w odgłosy miasta.

Ciężarówka ruszyła. Odgłosy miasta cichły. Kiedy znowu stanęliśmy, na skraju lasu, kazano mi wysiadać. Poprowadzono mnie w stronę budynku za wysokim murem, najeżonym drutami kolczastymi. Zmieniłem stare chłopskie łąchy, poplamione krwią i ropą, na czyste ubranie skazańca.

Słyszałem, że w świecie więziennym nowo przybyli aresztanci są bici tak długo, aż niechęć i arogancja zostaną z nich wytrząśnięte jak kurz z czyszczonego ubrania. W mojej dzielnicy, zamieszkałej przez przestępców politycznych - nauczycieli akademickich, których oszczerstwa doprowadziły do zbrodni - tortury zdarzały się rzadko. Po wymianie nazwiska na numer człowiek stawał się przedmiotem, cieniem.

Głód jest torturą skuteczniejszą niż pięści i pasy. Miseczka wody i pół miseczki ryżowych łusek dziennie trzymały nas przy życiu - w stałym zniechęceniu.

W snach kluski, mięso, najzwyczajniejsze jarzyny nabierały żywych kolorów, wyjątkowego aromatu, który oszołomił mnie i zniknął, gdy otwierałem oczy. Niekiedy, z palącym żołądkiem, zamętem w głowie, wodziłem wzrokiem za ogromnymi karaluchami, które wędrowały w pęknięciach ścian. Miałem na nie zwierzęcy apetyt.

Przez cały dzień leżałem na wyrze, powalony wyczerpaniem. Zaczynałem tracić poczucie czasu. Wolniej myślałem, ciało było odwodnione. Czułem się jak kawałek drewna. Fragmentami, zamazanymi obrazami, powracały wspomnienia z Pekinu i z gór. Jedynie obsesyjna myśl o jedzeniu zajmowała mój umysł, doprowadzała do obłędu i przypominała o moim człowieczeństwie.

Któregoś popołudnia zapowiedziano widzenie i poprowadzono mnie do rozmównicy. Miejsce było odrażające. Szepty przeplatały się z tłumionym szlochem. Każdy więzień siedział przy stoliku, naprzeciw rodziny. Ja nikogo nie oczekiwałem. Od chwili aresztowania nie wolno mi było porozumiewać się ze światem zewnętrznym. Może jeden z kolegów, z którymi wyjechałem z Pekinu, napisał do moich rodziców, a oni, po opuszczeniu szkoły 7 Maja, odnaleźli mnie tu w więzieniu? Z bezradnością szukałem wzrokiem znajomej twarzy i wtedy zauważyłem Wierzbę.

- Jak mnie znalazłaś? Jak udało ci się wyjechać z wioski? Co tu robisz?

Zasypałem ją pytaniami, wypowiedzanymi chrapliwym, pełnym wyrzutu głosem.

Zbladła, nie odpowiadała.

Rozejrzałem się wokół. W czterech kątach stali czterej strażnicy, jak kamienne posągi. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

Nagle chwyciłem jej rękę i ścisnąłem z całych sił.

- Wierzbo... - głos uwiązał mi w gardle. Uśmiechnęła się.

Trwaliśmy tak, połączeni rękami, nie mogąc wymówić ani słowa. Ciepło jej dłoni było dla mnie wielkim szczęściem.

Strażnicy zaczęli wypraszać odwiedzających i wyprowadzać więźniów. Ocknąłem się z rozmarzenia i krzyknąłem:

- Wierzbo, jestem głodny!

Z jej oczu trysnęły łzy.

- Zrewidowali mnie przed wejściem. Zabrali wszystko, co ci przyniosłam.

- Posłuchaj, jeśli pójdziesz wzdłuż więziennego ogrodzenia, trafisz na miejsce, gdzie szczyt muru jest porośnięty trawą. Strażnicy prawie nigdy nie kontrolują tego odcinka. Podejdę tam podczas spaceru. Proszę cię, Wierzbo, po raz pierwszy i ostatni, rzuć mi przez mur bułkę, kulkę ryżu albo kilka pierogów zawiniętych w gazetę.

Skinęła głową, płakała.

- Nie przychodź już tutaj. Wracaj do wioski. Zapomnij o mnie!

Strażnik szedł w naszym kierunku. Wierzba szybko wstała. Patrzyła na mnie tak, jakby spojrzeniem chciała mnie wyrwać z tej czarnej nory i zabrać ze sobą do światła. Odeszła bez słowa.

Pozostała część tego dnia była pogrążona w mroku. Kilkakrotnie w tej mojej beznadziei nawiedzała mnie myśl o śmierci.

Następnego dnia, już kiedy wstawałem, zacząłem żałować, że powiedziałem Wierzbie o mojej zachciance. Wyrzucałem sobie mój egoizm. Czas, prawie nieobecny w życiu więziennym, teraz znowu dał o sobie znać. Mijał powoli, mozolnie. Widziałem w myślach Wierzbę, jej ubranie, twarz, słyszałem jej łagodny głos, odcinający się na tle szumu bambusów. Każde wspomnienie o niej było dla mnie źródłem przyjemności i smutku. Pod wieczór dostrzegłem paczkę leżącą na końcu podwórza. Wykorzystałem chwilę nieuwagi strażników, oddaliłem się od grupy spacerujących więźniów i szybko ją podniosłem.

Były tam dwie bułeczki. Wieczorem podzieliłem się nimi z trzema nauczycielami z mojej celi. Moją część pokroiłem na drobne kawałki. Żułem je przez całą noc, przedłużając przyjemność do ostatniego okruszka.

Nazajutrz głód jeszcze bardziej drażył mi trzewia. Do tego bólu dochodziła rozpacz: byłem uwięziony i przez wszystkich zapomniany.

Ale wczesnym wieczorem znowu znalazłem pod murem paczuszkę zawierającą dwa nadziewane placki.

Wierzba zamieniła moje życie w piekło.

Gdzie mieszka? Oczami wyobraźni widziałem, jak za dnia włóczy się po mieście Meilin, a wieczorem sypia pod mostem. Przecież nie ma pieniędzy. Zebrze w restauracjach. Kradnie.

W jaki sposób uciekła z wioski? Przeszła piechotą setki kilometrów? Czy była poszukiwana przez naszych towarzyszy, którzy zauważyli jej zniknięcie? Czy zaczepiały ją miejskie łobuziaki? A niezdolne dzieci upokarzały? Może marzła? Była głodna? Ile razy dziennie płakała?

Nikt nigdy nie cierpiał tak jak ja. Późnym popołudniem, kiedy dostrzegałem jej przesyłkę, wzruszenie ścisnęło mi bólem wnętrza. Wieczorem niema radość emanowała z głębi mej duszy. Jedzeniem dzieliłem się z towarzyszami z celi, którzy patrzyli na nie z łapczywością głodomorów. Przez całą noc przeżuwałem, delektowałem się, byłem szczęśliwy, dumny z tego, że karmi mnie piękna dziewczyna, nieustraszona, najwspanialsza na świecie. Chwilami dawałem się ponieść wyobraźni. Widziałem nas po ślubie. Przygotowywała dla mnie pierożki. Jej ręce, które znowu były białe i delikatne, zwinnie urabiały ciasto, wzbogacane naszymi codziennymi uniesieniami. Widziałem w wyobraźni, jak rosą nasze dzieci, jak się razem starzejemy. Drżałem na myśl, że będziemy musieli umrzeć. Sto lat! Życie jest tak krótkie dla istot, które nie chcą się rozstawać!

A następnego dnia ogarniał mnie lęk, prosiłem niebiosy, żeby już tu nie przychodziła, żeby o mnie zapomniała. Jesień dobiegała końca, zima już się czaiła. Zmierzch zapadał jak czarna zasłona, odczuwałem coraz większy niepokój. Świat

zewnątrzny wydawał mi się zapełniony potworami: jak Wierzba znosi to wszystko? Czasami przez długie dni, niczego nie otrzymywałem. Szalałem z niepokoju, najchętniej uciekłbym z więzienia, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Nagle, któregoś wieczoru, paczka przelatowała ponad murem i to upewniało mnie, że Wierzba żyje.

Pozwolono jej na jeszcze jedno widzenie. Jej ubranie nieładnie pachniało, w wychudzonej twarzy, oczy wydawały się większe niż zwykle. Wziąłem jej dłonie w ręce i błagałem, by wracała do Pekinu, do rodziców.

Potrząsała głową.

- Czekaj na mnie w Pekinie - krzyknąłem w końcu.

Przerażony tą deklaracją przerwałem w pół zdania.

Zaśmiała się.

Skazana na siebie samą, zahartowana, wyglądała na silniejszą. Jej oczy błyszczały wesołą, bystrą jasnością.

Przed wyjściem położyła mi na dłoni kwiat chryzantemy. Aby nie zabrano jej go podczas rewizji, ukryła go we włosach.

W następny wieczór spacerowałem wraz z innymi więźniami. Miałem opuszczoną głowę, rozmyślałem jeszcze o owej scenie, gdy nagle usłyszałem głos strażnika:

- Kto idzie? Nie ruszaj się!

Odwróciłem głowę w stronę muru. Jakiś przedmiot, przerzucony nad murem, spadł na podwórko i wtedy rozległy się strzały.

Odepchnąłem strażnika, który chciał mnie zatrzymać, i podbiegłem do muru. Wszyscy więźniowie pobiegli za mną. W zamieszaniu usłyszałem, jak po drugiej stronie ktoś powiedział:

- Zabierz ciało. Nie żyje.

Kim była Wierzba? Przeniknęła mrok mojej egzystencji, jak spadająca gwiazda. Dokąd odeszła? Gdzie ją odnaleźć?

Padłem na ziemię. Nauczyciel, który dzielił z nami celę,
pokazał mi otwartą paczkę.

- Kurczak - powiedział ze łzami w oczach.

IV

W mieszkaniu rozdzwonił się telefon. Nikt nie odbierał, więc uparcie dzwonił dalej.

- Słucham, mamó - rzekła Ajing, która przebiegła przez salon, żeby odebrać. - Nie, mamó, nie mam czasu. Wyjeżdżam. Jadę do Hongkongu na międzynarodowy Salon Kosmetyczny. Mam tam zaprezentować moją najnowszą wodę... Zadzwoń jutro rano.

Ze słuchawką między policzkiem a ramieniem Ajing wróciła do pokoju. Zamknęła walizkę.

Mama miała nieco przytępiony słuch i lubiła niepokoić Ajing, gdy ta się spieszyła.

- Mamó, nie mam czasu teraz o tym rozmawiać. Jutro rano! Nieprawda, mamó, zawsze dzwonię, kiedy mam wolną chwilę.

- Nie, mamó, nie dzwoniłam do tego chłopca. Niepotrzebnie się martwisz. Nikogo mi już nie przedstawiaj! Lubię być sama i nie mam ochoty na małżeństwo...

Mama była urażona. Wykorzystując chwilę jej milczenia, Ajing powiedziała:

- Wyjeżdżam. Zadzwoń dziś wieczorem. Zaciągnęła walizkę do drzwi wyjściowych i wróciła do salonu, żeby odłożyć słuchawkę. Przez oszkloną ścianę widać było las drapaczy chmur, układankę z odbłasków i drobnych światełek. Dwadzieścia pięter niżej pekińskie ulice przeplatały się we mgle rozpraszonej światłami i barwami.

Jak żołnierz, który wyrusza na pole bitwy, znieruchomiła na chwilę w skupieniu, po czym poszła w kierunku wyjścia.

Ajing padła na tylne siedzenie taksówki. Położyła się spać o drugiej w nocy, wstała o siódmej rano, zaczynała już odczuwać zmęczenie, tym bardziej że w ten zmierzchający letni dzień panował ciężki skwar. Wtuliła się w siedzenie,

chciała uciąć sobie krótką drzemkę, aż tu nagle zadzwonił telefon.

- Tak, Zhanghuan, to bardzo dobra wiadomość. Ajing nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jej wyroby kosmetyczne podbiły rynek singapurski.

- Bardzo dobrze pracowałeś. Zgadza się. Niech przygotuje umowę i prześle mi faksem do hotelu. Powiedz Aurorze, żeby do mnie przyszła. Zepsuł się komputer. Musi go szybko naprawić. Dziękuję.

Wykonała jeszcze kilka telefonów do swych wspólników, a wtedy odezwał się drugi telefon komórkowy. Znowu się uśmiechnęła, widząc numer na ekraniku.

- Dobry wieczór... Ja? Jestem strasznie zmęczona... Nasz wieczór za bardzo się przedłużył. Nie, nie mogę.

Będę w Hongkongu. Zadzwonię do ciebie jutro, punktualnie o jedenastej...

Spotkała tego młodego, dwudziestoczteroletniego aplikanta w kancelarii swojego najlepszego przyjaciela. Był od niej młodszy o cztery lata, Ajing żywiła dla niego matczyną czułość. Bawiła ją jego naiwność. Żył romantycznymi studenckimi złudzeniami, co przypominało jej dawne dobre czasy.

Zaczął płakać w telefon. Skarżył się, że za rzadko ją widuje. Podejrzewał, że ma kochankę. Brakowało mu jej. Kocha ją.

Ajing oddaliła telefon od ucha. Taka długa deklaracja rozdrażniła ją. Nienawidziła tych, którym się zdawało, że nad nią zapanowali. Namiętność jest grą, miłość rzadkim cudem. Jak można zakochać się po trzech tygodniach? Ajing wątpiła w to. Tylko serce niestałe w uczuciach jest bez przerwy zakochane. A poza tym Ajing miała zasadę, by nigdy nie okazywać słabości, pogardzała więc takimi babskimi lamentami.

Pocieszyła swego adoratora, obiecując mu spotkanie w następny wieczór, ale już z góry wiedziała, że nie dotrzyma słowa.

Telefon znowu zadzwonił. To Christopher, jej były. Mężczyźni Ajing zdecydowanie podobni byli do obłoków, które przylatują i odlatują w tym samym czasie. Chris dowiedział się z „South China Morning Post” o jej przyjeździe do Hongkongu. Dzwoni, żeby zaprosić ją na kolację.

- Przykro mi - skłamała. - Będę zajęta aż do powrotu do Pekinu. Przyjdź do mnie w czasie Salonu... Bye.

Chris pochodził z Hongkongu, do szkół chodził w Londynie, nie pisał po chińsku, ale mówił dialektem kantońskim, którego Ajing nie znała. Porozumiewali się po angielsku. Chowający się za obcym językiem i europejską kulturą, Banan (Banan: żółty na zewnątrz, biały wewnątrz.), jak w Azji zwie się takich jak on, zafascynował ją. On i Hongkong byli do siebie podobni: nerwowi, ambitni, pełni kompleksów.

Wielka Brytania nauczyła go smutnej fantazji i poważnego szekspirowskiego szaleństwa, a rodzice wpoili mu tradycje przodków.

Chris pachniał whisky i lawendą. Jeździł porsche. Lubił wydawać, tańczyć, uwodzić. Upijał się, zażywał narkotyki. Cudzoziemców nazywał diabłami, pogardzał swoimi. Oczarował Ajing dwoistością człowieka rozdartego pomiędzy Wschodem a Zachodem, ale któregoś ranka obudziła się i postanowiła z nim zerwać.

Taksówka sunęła autostradą. Przestały dzwonić oba telefony komórkowe, zapanowała niecodzienna cisza. Migwały drzewa, nad miastem zapadał zmierzch.

Samolot do Hongkongu wystartował i zniknął w chmurach. Dwaj mężczyźni, siedzący obok Ajing, rozmawiali

o kryzysie ekonomicznym w Europie. Słuchając ich, oglądała widoki przez okrągłe okienko.

Jak okiem sięgnąć, widać było kłębiaste chmury, które falowały i nacierały na siebie nawzajem. Ich ruch ją usypiał. Nagle z głębi chmur wyłonili się czterej jeźdźcy. Pokonali pustą przestrzeń i zatrzymali się tuż obok samolotu. Zsiedli z koni. Kobieta w muślinowej sukni dała jej znak. Ajing siedziała jak wryta w fotelu. Chwilę potem poczuła, że wciąga ją jakaś przemożna siła.

Znalazła się na obłoku, z nogami zanurzonymi w warstwie mgły bez dna. Dostała zawrotu głowy, już miała upaść, gdy jakiś młodzieniec rzucił się w jej stronę i podtrzymał ją. Miał okrągłą twarz, duże podłużne oczy, był niesłychanej urody.

Przyprowadził białego konia i pomógł jej wsiąść. Galopowali po nieboskłonie pełnym obłoków, aż wyłoniła się przed nimi góra czarnej waty i zagroziła im drogę. Wtedy zaczęli pieszo wchodzić na gigantyczne schody.

Co sto stopni był przestronny taras ogrodzony balustradą, a po tysięcznym stopniu ukazał się pałac. Młode służące wprowadziły Ajing przez wielką otwartą bramę, po czym zawiodły ją do sali tronowej. Niebiańska cesarzowa przywitała tę młodą kobietę i powierzyła jej hodowlę jedwabników. Potem wzięła Ajing za rękę i wyprowadziła do ogrodu, gdzie wyprawiono bankiet na jej cześć.

Ajing siedziała po lewej stronie cesarzowej, po prawej ujrzała młodego boskiego młodzieńca, który ją podtrzymał. Nie miał już na sobie stroju jeźdźcy, ubrany był w płaszcz z wyhaftowanym słońcem i morzem, rzekami i konstelacjami. Uśmiechał się do Ajing, która, zarumieniona, odwracała głowę i oglądała widoki. W oddali, jak sięgnąć wzrokiem, rozciągało się jezioro; ptaki baraszkowały na falach. Pod drzewami niebiańskie istoty śmiały się, degustując smakowite

owoce. Z gałęzi spadały purpurowe i tęczowe kwiaty. Gdy dotykały stołu, zamieniały się w motyle i odlatywały.

Nazajutrz i w następne dni Ajing w towarzystwie dwudziestu młodych dziewcząt poszła zbierać liście morwy wyrastające z chmur, aby je dać jedwabnikom. Pewnego ranka wezwała ją cesarzowa. Powiedziała:

- Mam syna, jest inteligentny, miły i szlachetny. Jesteście dla siebie stworzeni.

Nie czekając na odpowiedź Ajing, niebiańskie istoty z dworu podbiegły jej gratulować. Związały jej długie włosy w kok, ubrały w suknię z iskrzących obłoków, przemieniły mgłę w welon, który zasłaniał jej twarz, i pomogły wsiąść do karety zaprzężonej w cztery skrzydlate przezroczyste smoki. Rozległy się dźwięki muzyki.

Gdy wysiadła z karocy, Ajing poczuła pod stopami bruk. Ktoś wziął ją za rękę. Słyszała szepty, szmer instrumentów, łopot skrzydeł, szelest jedwabnych tunik. Nagle wszystko ucichło.

Nieznajomy prowadził Ajing za koniuszki palców. Gdy usiadła, zdjął jej welon. Dostrzegła drzewa o szerokich owalnych liściach, które osłaniały ją przed słońcem. Niebo opierało się na gałęziach, jak wielki ptak. Naprzeciw niej bujne rośliny pięły się po murze i wypełniały powietrze swymi małymi białymi kwiatkami. Rozpoznała młodego księcia: siedział obok i przypatrywał się jej. Szczęście Ajing było tak wielkie, że westchnęła:

- Wszystkie sny mają swój koniec, kiedy ten sen się skończy?

Jakiś czas później brzemienna Ajing urodziła jajko, z którego po otwarciu wydobyły się świetliste promienie. W środku był chłopiec. Dziecko, które pojono miodem zmieszany z poranną rosą, rosło powoli: jego wzrost trwał dziesięć razy dłużej niż wzrost dzieci ziemskich.

Ajing żyła w niebiańskiej szczęśliwości aż do dnia, gdy dostrzegła swój pierwszy siwy włos. Uświadomiła sobie wtedy, że czas strawił jej życie, jak żar spopiela kadzidełko. Traciła siły, czoło coraz bardziej pokrywało się zmarszczkami, pochylały się plecy, mętniał wzrok. Udręczona widmem rychłej rozłąki, przepelniona zgrozą starczego wędnięcia, schroniła się w samotności.

Tego dnia Ajing siedziała pod drzewem morwowym, z którego liście spadały na jej siwe włosy i na suknię. Powoli obracając kołowrotkiem, przędła jedwabną nitkę. Zjawił się jej młody małżonek. Smutnym głosem spytał, dlaczego oddała się od niego. Uniosła głowę. Tak jak w czasie ich pierwszego spotkania, była poruszona jego urodą. Łzy napłynęły jej do oczu.

Ajing była coraz słabsza, wkrótce nie mogła już chodzić. Pewnego ranka, leżąc w łóżku, zawołała synka, który bawił się w ogrodzie. Po dłuższej chwili chłopiec przybiegł ze śmiechem na ustach. Dał jej do rąk wianek z gałązek wierzby płaczącej.

Uśmiechnęła się.

- Niebawem wyjadę w podróż - powiedziała. - Bądź grzeczny, dzielny, słuchaj ojca. Kiedy o mnie pomyślisz, kiedy będzie ci smutno, pójdziesz na spacer po tęczy. Z góry dojrzysz ziemię, rozległą, ogromną, na której urodziła się twoja matka i na którą powróciła.

Chłopiec skinął głową.

- Idź po tatę, powiedz mu, żeby tu przyszedł.

Wybiegł.

Położyła się i czekała. Zaczął ją przenikać spokój panujący w pałacu. Wypełniał jej serce jak źródło. Przyciskając wianek do piersi, Ajing westchnęła i zamknęła oczy.

Ajing usłyszała zapowiedź, że samolot podchodzi do lądowania w Hongkongu. Otworzyła oczy i zobaczyła, że siedzący obok mężczyzna odpina pas bezpieczeństwa, wstaje i zdejmuje z półki bagaż.

Attache prasowy przyjechał po nią na lotnisko. W samochodzie pokazał jej artykuły i reklamy, które ukazały się w miejscowych gazetach. Poinformował ją o godzinach wywiadów, wystąpień telewizyjnych, uroczystych przyjęć. Ajing wydawała się roztargniona.

Po przyjeździe do hotelu odkręciła kran przy wannie. Miała dokładnie dwadzieścia minut na kąpiel, ubranie się, makijaż, bo potem czekało ją spotkanie z dziennikarzami.

Otworzyła walizkę.

Między dwiema sukienkami zauważyła zwiędły wianek z gałązek płaczącej wierzby.